

spotkać współczesność

wywiady

spotkać współczesność

**wywiady o pokoleniu współczesności
eseje, poezja**

**literatura polska
pomiędzy rokiem 1956 a 2006**

Dziękuję wspaniałym ludziom za pomoc w zebraniu materiału do tej książeczki. Współpraca z dr. Leszkiem Szymańskim była dla mnie cudowną niespodzianką i zaszczytem. Jak również kontakt z niezwykłymi ludźmi z pokolenia „Współczesności” – Jurkiem Czajkowskim, Zbigniewem Irzykiem, Romanem Śliwonikiem (wymieniam w kolejności alfabetycznej) oraz redaktorami, krytykami, historykami zajmującymi się tematem tego pokolenia. Jest dla mnie zaszczytem, że mogłam dołączyć do moich wywiadów rozmowę Agnieszki Herman z Romanem Śliwonikiem.

Zapraszam do lektury Księgi Pamiątkowej Współczesności zawierającej bogatą dokumentację - materiał, starannie skompletowany, zredagowany przez Leszka Szymańskiego. W Księdze Pamiątkowej Współczesności ze wzruszeniem odnalazłam wspomnienia o Marku Hłasce, Grochowiaku, Ośniałowskim.... Żal, że z niektórymi ludźmi nie spotkałam się teraz.

**Danuta Błaszak
<http://miastoliteratow.com>**

Danuta Błaszak
Polska literatura powojenna

Polska literatura powojenna nie miała profesjonalnej krytyki literackiej, a wartości i bogactwo pisarskie – zarówno treści jak i formy - stanowiły dla historyków literatury materiał trudny do uporządkowania.

Jeszcze rok temu, gdy pracowałam nad pierwszą edycją mojej antologii "Polacy po angielsku" ("Contemporary Writers of Poland"), brakowało mi podsumowań polskiej literatury powojennej. W antologii zaprezentowałam Polskę po prostu wybitnymi utworami literackimi. Czytelnicy z pewnością zauważyli, że antologia pozbawiona jest życiorysów tworców, czy też esejów o polskiej literaturze. Antologia jest, jak napisano w recenzjach, jak fotograficzny obraz polskiej literatury w momencie otwarcia granic – w momencie "wejścia Polski do Europy".

Antologia jest statystycznym obrazem Polski.

Jest dla mnie zaszczytem, że mogę teraz, po roku, przedstawić dynamiczny obraz Polski, zapisać białe plamy w historii polskiej literatury, zrozumieć przyczyny, zobaczyć zjawiska i wydarzenia.

Mój dynamiczny, filmowy obraz polskiej literatury, zaczyna się w roku 1956 – kiedy to powstało pismo "Współczesność". Jest dla mnie zaszczytem, że mogłam poznać pierwszych redaktorów "Współczesności: Jurka Czajkowskiego, Zbigniewa Irzyka, Romana Śliwonika, i żalem, że nie poznałam tych, którzy umarli za wcześnie. Wiosną tego roku (2006, w 50-tą rocznicę założenia pisma) spotkałam Leszka Szymańskiego, założyciela i pierwszego szefa tej historycznej gazety. Dr Szymański wyjechał z Polski w 1958 roku. Ktoś widział go potem na Filipinach albo w Australii – uznany został za zaginionego. Zdarzają się cudowne nieplanowane spotkania.

I tu jest pora na jakieś wyjaśnienia: dlaczego opracowanie polskiej literatury powojennej stanowiło problem dla krytyków i historyków. Polska cenzura aktywna przez długie lata – zarówno w czasie "odwilży" jak i "reżymów" - znacznie przyczyniła się do białych plam i niespójności polskiego obrazu literackiego. O pisarzach, którzy wyjechali z kraju – często nie wolno było mówić. Sugerowano/narzucano

nieprzychylnie, poniżające wypowiedzi. Nie mówić o tych, którzy byli niewygodni dla komunizmu, to tak jakby ci ludzie nie istnieli. Książki Dr. Szymańskiego, sławiące polską kulturę, były znane jedynie za granicą – w kraju książki nie istniały.

W jednym ze swoich artykułów Dr Leszek Szymański napisał: "Niektórzy historycy i badacze literatury w przypadku "Współczesności" oparli się głównie na wypowiedziach reżymowych pisarzy, mimowolnie lub świadomie przekazując skrzywiony obraz. Źle to świadczy o ich rzetelności. Obowiązkiem historyka jest zdawanie sobie sprawy z kryteriów i tła epoki i zastosowanie tej wiedzy do specyfiki opisywanych wydarzeń. Nie wolno opierać się na dawnych wypowiedziach o "Współczesności" zafałszowanych przez cenzurę."

Dlaczego gazeta "Współczesność" była przełomem? – to pytanie zadałam osobom, z którymi przeprowadziłam wywiady (do przeczytania w dalszej części tej książki).

"Współczesność" to niezależność, kontakt z nowoczesną literaturą światową, i rzetelna wiedza literacka, nowoczesność formy – te idee przewodziły pierwszym redaktorom gazety "Współczesność" i kolejnym wybitnym, kreatywnym pisarzom, którzy przyłączali się do... ruchu Współczesność. Wydarzenie historyczne zaistnienia niezależnej gazety zaowocowało zaistnieniem pokolenia "Współczesność". Mówimy tu o Stanisławie Grochowiaku, Marku Hłasce, Romanie Śliwoniku. Mówimy o Ośniałowskim ... jak również o pewnym nazwiskach mało znanych, zamilczanych przez cenzurę.

Serdecznie zapraszam do lektury tej książki – jakie były drogi od Współczesności do Solidarności, poprzez piękno utworów, tragedie, tworzenie bogactwa wartości polskiej literatury, poprzez wydarzenia polityczne, zawsze nierozłączne z polską literaturą.

Danuta Błaszak

leszek szymański
o współczesności po prostu

W pięćdziesiątą rocznicę założenia "Współczesności", przypomnijmy o ruchu młodzieży twórczej dziś określanej jako Pokolenie Współczesności. Był to przełom! - reakcja na socjalistyczny realizm, pierwszy haust wolnej twórczości. Niektórzy historycy i badacze literatury w przypadku "Współczesności" oparli się głównie na wypowiedziach reżymowych pisarzy, mimowolnie lub świadomie przekazując skrzywiony obraz. Źle to świadczy o ich rzetelności. Obowiązkiem historyka jest zdawanie sobie sprawy z kryteriów i tła epoki i zastosowanie tej wiedzy do specyfiki opisywanych wydarzeń. Nie wolno opierać się na dawnych wypowiedziach o "Współczesności" zafałszowanych przez cenzurę.

Grupa literacka nie mogła istnieć bez manifestu, ale manifest musiał być napisany tak, by został zaakceptowany przez Partię. Dziś, ktokolwiek chce założyć pismo literackie, może je założyć bez deklaracji ideowych. Adam Ważyk wyczuwał nasz kamuflaż. "Co was właściwie łączy? Czym jest wasza grupa"? Łączył nas wiek i wspólne krytyczne spojrzenie na otaczającą nas współczesność. Reprezentowaliśmy nie tylko literatów, lecz całe ówczesne twórcze pokolenie muzyków, aktorów, filmowców, plastyków, a nawet tancerzy. Jerzy Czajkowski, Roman Śliwonik i Jerzy Siewierski... W pamięci utkwiło mi jeszcze parę nazwisk: Marek Hłasko, Stanisław Grochowiak, Okołów, Bohdan Slezkin, Marek Oberlander, Janusz Kieszczyński, Krzysztof Komeda, Wojciech Siemion... Omówiłem to i w artykule w paryskiej "Kulturze" i w wywiadzie Danuty Błaszak.

Grupa bazowała zasadniczo na członkach Koła Młodych przy ZLP. Do mojego projektu założenia grupy literackiej szybko dołączył Roman Śliwonik, wtedy głośny autor "My", sławny w poezji, również i jego wtedy nieodłączni koledzy Wojtek Albiński i Andrzej Chaciński. Eugeniusz Kabatc i Aleksander Wiczorkowski trzymali się na uboczu. Magda Leja była nastawiona wrogo. Ciekawe, że w grupie nie było kobiet. Grupa "założyła się" formalnie w mieszkaniu Alicji Wankracowej, studentki i koleżanki Jerzego Siewierskiego. Mając grupę, mogliśmy się starać o pismo. Ówczesny

minister kultury, Kuryluk, był do nas przychylnie nastawiony i wyasygnował bodaj dziesięć tysięcy złotych, nie na periodyk, ale jednodniówkę.

Zebraliśmy materiały, bynajmniej nie imponujące. Nikt z nas nie miał pojęcia o drukarstwie, ale dołączył się do nas Jacek Wilk, zawodowy redaktor techniczny z *Expressu Wieczornego*. On nam pomógł złamać numer. Dzięki niemu dołączył do nas Andrzej Korczak, jego redakcyjny kolega i towarzysz z partyzantki. Obaj byli od nas starsi. Numer został zmontowany latem 1956 roku. Ukazał się na początku października.

W dalszym ciągu nie mieliśmy zezwolenia na drukowanie pisma, ale udało mi się przesznułować datę 1 października tak, że wyglądało to jak numer pierwszy.

Ten numer "pierwszy" został przyjęty przez niezwiązanych z nami członków Koła Młodych szyderstwami, drwinami i oskarżeniami o grafomanię. Takie czy owakie, prywatne pismo było w tym czasie bez precedensu. W dodatku przez trik numeru pierwszego było faktem dokonany.

Nieukazanie się numeru drugiego byłoby oskarżeniem o zamknięcie pisma.

Pamiętam, że gdy przyjęto mnie do Koła Młodych, odetchnąłem z ulgą, bo jako niepracującemu chuliganowi z więzienną (polityczną) przeszłością, groziła mi deportacja z Warszawy. Szybko przybyło nam współpracowników. Doszli też ludzie spoza Koła Młodych, tak jak Brycht, Nowakowski, Delinikajtis, Irzyk, Słojewski, Z. J. Bolek. Udało mi się też wydębić wreszcie pozwolenie na wydawanie pisma, choć bez przydziału papieru i pieniędzy.

Andrzej Korczak dodał nam rozmachu. Wprowadził tytuły małą literą, co było straszliwą innowacją. Zaproponował nawet reformę pisowni. Korczak dostarczył nam tłumaczeń prozy amerykańskiej. Ja wystarałem się o parę artykułów na temat poezji. Pomógł nam też hinduski członek grupy Kedar Nath oraz George Vaurgise. Numeru 2. nie było co się wstydzić. Prawdziwa bomba! Na pierwszej stronie widniał wiersz Romana Śliwonika "Braciom Węgrom". Wiersz ten wpadł, jak mi doniesiono, w oko Gomulce i nastąpiła katastrofa. Cofnięto nam zezwolenie. Dwa numery i dwie likwidacje na koncie. Pierwsza była przewencyjna, nim pismo się ukazało. Tow. Józef Cyrankiewicz po "wypadkach

poznańskich” zamknął wszystkie pisemka młodzieżowe, ze szlachetnym wyjątkiem “Po prostu”.

Ta druga likwidacja pisma była sprawą znacznie poważniejszą. Wpadłem na pomysł, żeby przydybać tow. Wiesława na wiecu w Pałacu Kultury. Udało się i dał nam zezwolenie na wydawanie pisma, nadal bez papieru i pieniędzy, a co najgorsze pod surowym zakazem pisania czegokolwiek o polityce. Warunek, który w owych rozgorączkowanych czasach był równy wyrokowi zagłady, a w opinii publicznej automatycznie przeciwstawił nas "Po prostu". Przypominam zgryźliwie organowi byłych zetempowców. Pamiętam, że w czasie mojej krótkiej rozmowy Gomułka poinformował mnie, że czołgi sowieckie były już na przedmieściu Warszawy, że to oni uratowali nas przed rosyjską inwazją i że pisarze nie będą rządzić Polską. Od tego czasu zamykano nas jeszcze kilka razy, bez konkretnych zarzutów, chyba na znak ostrzegawczy, abyśmy nie podskakiwali. Skuteczne, bo stałem się cenzorem własnego pisma, albo by zrobić komuś nas protegującemu na złość. Udaowało mi się odzyskać zezwolenie, po mniej lub więcej żmudnych staraniach. Pewnego razu zamknięto nas prawie skutecznie, za ogólnie niewłaściwą linię pisma. Uratował nas wtedy Zdzisław Jerzy Bolek, chyba jedyny wtedy przedstawiciel proletariatu w naszej grupie. Wysoki blondyn o orlich rysach twarzy, odznaczał się niesłychaną energią i optymizmem. Co najdziwniejsze, znał chyba wszystkich młodszych i starszych pisarzy. To on ściągnął do nas Stanisława Grochowiaka, Mariana Ośniałowskiego, a w pewnym okresie Mirona Białoszewskiego i Zbigniewa Herberta. Zapewnił nam też protekcję Jerzego Putramenta, który słynął z konkretnej pomocy udzielanej pisarzom. Znał też wiele innych ważnych osobistości. Sympatycznie byli do nas ustosunkowani Jan Wyka, Anatol Stern, Jerzy Broszkiewicz i Stanisław Rembek. Zezwolenie odzyskaliśmy, ale ciągle byliśmy na własnym garnuszku, bez pieniędzy i niezbędnego przydziału papieru. Sprzedawaliśmy numery pisma na rogach ulic, w kawiarniach i restauracjach, przed kinami i teatrami, w parkach, z ciężarówek. Płaciliśmy honoraria tylko tym, którzy by bez nich zginęli. Nie wedle zasad wierszówki, ale potrzeby. Pewnego razu największe honorarium dostał Marian Ośniałowski, bo w zimie chodził w tenisówkach. Później się

okazało, że nie używał on innego typu obuwia bez względu na porę roku. Kiedyś Leszyn szef "Helikonu" pożyczył nam pieniądze, które zebrał w istnej odysei na pismo poetyckie, na które nie dostał pozwolenia. Daliśmy mu parę stron Współczesności na "Helikon". Roman Śliwonik był najwybitniejszą osobą w naszym gronie. Prowadził dział poezji. Andrzej Chaciński był wspaniałym sekretarzem redakcji, Andrzej Delinikajtis zorganizował administrację. To on nas poinformował, że musimy być osobą prawną i zarejestrował jako spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Nasi władcy też chyba się nie znali na prawie, bo zezwolenie otrzymane na moje ręce opiewało na grupę literacką "Współczesność". Jerzy Czajkowski był moim niez mordowanym pomocnikiem. Wiele innych osób, których nazwisk nie pomnę lub których wyliczanie byłoby zbyt nużące w tym miejscu, pomagało nam piórem lub fizycznie w utrzymaniu pisma. Był to okres bohaterski.

Brak pieniędzy zmuszał nas do szukania rozmaitych protektorów, włączając w to Stronnictwo Demokratyczne i PAX. W zamian dawaliśmy im po parę stron, wyraźnie różniących się od reszty pisma. Tak jak zrewanżowaliśmy się "Helikonowi". Oczywiście była to nienormalna sytuacja, nie było możliwości utrzymania politycznej linii pisma i słusznie zarzucano nam lawiranie. Odpowiedzieć nie mogliśmy. Cały czas balansowaliśmy na linie i każdy zarzut, oskarżenie czy złośliwość, choćby pomówienie o propagowanie grafomaństwa mogło nas zlikwidować.

Były sprawy polityczno-kuchenne, mało komu wiadome, ale co było wyraźnie widoczne, to fakt, że w ustroju totalitarnym reprezentowaliśmy "free radical", dość już potężną grupę nie tylko pisarzy, ale młodzieży twórczej i kilka niezłych numerów pisma.

Pewnego dnia Starr telefonicznie polecił mi stawienie się w KC. Rozmawiałem tam z tow. Bębenkiem. Ten bez ogródek poinformował mnie, że albo przejdziemy do "Ruchu", albo zostaniemy skutecznie zlikwidowani. Obiecał mi etaty redakcyjne i normalizację wydawania pisma, a na politruka przysłał mi Józefa Lenarta, obiecującego działacza młodzieżowego, redaktora ze "Sztandaru Młodych" i byłego sekretarza Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej. Dorzucono mi jeszcze Tadeusza Sztrumpfa. Nakaz KC PZPR

miałem trzymać w ścisłej tajemnicy, ale oczywiście musiałem poinformować kolegów, choć nie wymieniałem nazwisk.

Józef Lenart, który kiedyś się wyraził, że prędeż mu włosy na dłoni wyrosną nim ja wydam "Współczesność", teraz zaawansował na mojego zastępcę. Muszę mu przyznać, że był taktowny i nie panoszył się. Ale okres naszej niepodległości był zakończony. Nakazano mi wstąpienie do partii wraz z kolegami, bez wyznaczenia terminu, ale prędeż czy później. Wybrałem wolność. Byłem wtedy w Indiach. I tak zaczęło się moje życie emigracyjne, przez Australię do Anglii, z Anglii do USA. Zacząłem pisać po angielsku. Z polskiego pisarza stałem się pisarzem australijsko-amerykańskim. Metody twórczej nie zmieniłem. Do tej pory jestem wierny "Współczesności".

leszek szymański

Roman Śliwonik
MY

My jesteśmy określoną częścią czasu
zanim zaczniemy budować
nowe stopnie lat
nie pozwólmy
żeby nam kazano dźwigać kamienie
na piramidy
krew rąk naszych
będzie dla pokoleń
tylko symbolem daremnego bólu
nie możemy mieć jednej twarzy
niewolnika faraonów
oto wiosna zieloną kredką
rysuje radość drzew i kwiatów
w jej słońcu
jak w pieśni
odnajdziemy swoje twarze
odnajdziemy radość rąk
zanim zaczniemy budować
nowe stopnie lat

1956

Zbigniew Irzyk mówi o grupie Współczesność

Rozmawia Danuta Błaszak



Zbigniew Irzyk
www.lomianki.art.pl

Jak powstała Grupa? Jakie sa Pana związki ze Współczesnością?

Do grupy literackiej "Współczesność dołączyłem kilka miesięcy później, dopiero jak powstało pismo o tej samej nazwie. O okolicznościach jej założenia na Woli w mieszkaniu Alicji Wankracowej wiem tylko z opowiadań Jerzego Siewierskiego i Romana Śliwonika. Wtedy była to bodaj pierwsza tego rodzaju grupa poetycka, jaka powstała w Polsce po wojnie. Nawiązywała ona do tradycji literackich lat trzydziestych, kiedy istniały u nas „Skamander”, „Zagary” czy

„Przedmieście”. Po powstaniu naszej grupy powstała moda na podobne inicjatywy w całym kraju (jak np. Poznański „Swantewit” czy krakowska „Muszyna”). Młodym literatom o nieznanych zupełnie nazwiskach łatwiej było wspólnie zaistnieć w życiu artystycznym niż osobno. Grpa literacka „Współczesność, gdy do niej dołączyłem, była stosunkowo nieliczna i w zasadzie pokrywała się ze składem redakcji. Należeli do niej m.in. Leszek Szymański, Jerzy Siewierski, Jerzy Czajkowski, Andrzej Chaciński, Marian Osniałowksi, Zdzisław Jerzy Bolek, Andrzej Korczak, Mirosław Malcharek. Mniej więcej do połowy 1958 roku jej członkowie pozostawali głównie redaktorami „Współczesności”. Potem skład osobowy dwutygodnika na skutek częstych interwencji i nacisków różnych czynników zewnętrznych podlegał stałym zmianom. Powstanie grupy niejako zainspirowało jej założycieli do powołania pisma młodych i również w tym sensie stanowiło przełom w naszym życiu literackim.

Moje związki z pismem datują się od listopada 1956 roku. Pełniłem w nim obowiązki redaktora i publicysty, przynosząc „Współczesności” pewien rozgłos swoimi pamfletami i artykułami. Byłem wówczas studentem polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim i uczęszczałem na seminarium Jana Kotta. Marzyła mi się kariera naukowa. „Współczesność” całkowicie odmieniła moje plany życiowe i przyczyniła się do tego, że związałem się na stałe ze środowiskiem młodoliterackim i dziennikarskim. Bezpośrednio do pracy nakłonił mnie mój serdeczny kolega Jerzy Siewierski, redaktor w „Nowych Książkach”, ceniony później autor powieści o tematyce historycznej i kryminalnej. We „Współczesności” w jej bohaterskim okresie panowała duża niezależność i swoboda twórcza, a także wspaniała atmosfera – pomimo ciągle ponawianych nacisków politycznych ze strony władz domagających się od nas jasnej deklaracji ideowej.

Zadebiutowałem w 3. numerze wspólnie moim przyjacielem i kolegą szkolnym z gimnazjum Wojciecha Górskiego artykułem „Edgar Allen sfalszowany” stanowiącym polemikę z Januszem Wilhelmem ówczesną szarą eminencją partii, autorem wyboru pism wibitnego poety i prozaika amerykańskiego. Z Jerzym Łojkiem przyszłym historykiem, autorem „Dziejów pięknej Hitynki”, „Agresji 17 września 1939

roku” i ”Dziejów sprawy Katynia” połączyła nas więzami przyjaźni nie tylko wspólna pasja pisarska, ale wyjątkowa wspólnota duchowa wynikająca z naszych osobistych losów. Obaj byliśmy sierotami wojennymi, ofiarami represji stalinowskich. Jerzy był synem majora dr. Leopolda Łojka zamordowanego w Katyniu. Mój dziadek Franciszek Irzyk – wiceprezydent Lwowa i ojciec Karol – zostali rozstrzelani przez bolszewików...

Wkrótce zostałem redaktorem (od 4. numeru w kolegium redakcyjnym) i kierownikiem działu krytyki literackiej, autorem wielu publikacji drukowanych na jej łamach jak np. „Szarganie świętości” – rzecz o twórczości młodej Nałkowskiej czy szeroko omawianego szkicu o de Sade. We „Współczesności” pracowałem do końca 1959 roku. Zostałem wtedy zwolniony (nigdy nie aneżiałem do ZMP, co poczytuję sobie za powód do dumy) z częścią zespołu – między innymi z Ernestem Bryllem – jako rzekomo członej jakiejś bliżej nieokreślonej „frakcji inteligenckiej”. Od 1960 roku „Współczesność” stała się integralną częścią życia kulturalnego kontrolowanego w pełni przez władze, a jej ostatnim redaktorem naczelnym został Jerzy Putrament (sic!) przysły założyciel „Literatury”. Ale już wtedy byłem w „Kierunkach” życzliwie przygarnięty przez Mikołaja Rostworowskiego i Ankę Kowalską. Odtąd już tylko ze smutkiem mogłem się przyglądać pewnej perspektywy dalszym przemianom we „Współczesności”. Obserwować jak nasze młodzieńcze amrzenia o wydawaniu wolnego od dyktatu partii pisma młodych całkowicie rozmijają się z rzeczywistością. I tak przez wiele alt byłem w luksusowej sytuacji, znajdując swoisty azyl w Pax-ie, w środowisku pisarzy katolickich, gdzie wolno było pisać o Baczyńskim i Gajcym, i gdzie znalazłem przyjaciół w osobach Zdzisława Umińskiego, Józefa Szczypki – autora pierwszej książki o janie Pawle II „Droga do Rzymu” i poety Zdzisława Łączkowskiego. Jako wieloletni redaktor w „Kierunkach” i w Instytucie Wydawniczym „PAX” utrzymywałem stały kontakt z Zofią Kossak, Melchiorem Wańkowiczem, Władysławem jem Grabskim, Janem Dobraczyńskim, Stanisławem Rembkiem, Aleksandrem Rpogalskim, Alfredem Łaszowskim, Zygmuntem Lichniakeim, Kazimierzem Truchanowskimi innymi wspaniałymi twórcami. Zatem po przymusowym odejściu ze „Współczesności” przytrafiło mi się jeszcze niezgorzej.

Jakie wiersze Współczesności były publikowane? Czy publikowanie wymagało odwagi, czy już wtedy można było to zrobić?

W tamtych czasach byłem początkującym krytykiem literackim, typowym młodym gniewnym zbuntowanym przeciwko panującemu w literaturze realizmowi socjalistycznemu i twórcom różnych produkcyjniaków autorstwa polskich i radzieckich pisarzy. Do których lektury przymuszano nas w szkole i na studiach. Wraz z moimi kolegami z pierwszego zespołu redakcyjnego utożsamianego właśnie z grupą literacką „Współczesność” w sposób spontaniczny występowaliśmy przeciwko panującemu zakłamaniu i zafalszowaniu w świecie literatury oraz upominaliśmy się w sposób może chaotyczny i wybiórczy o to wszystko, co do tej pory było zabronione i o czym nie wolno było pisać. Pamiętajmy, że istniały w tym czasie, zarówno w historii jak i w literaturze, liczne „białe plamy”. Przemilczana była twórczość religijna, patriotyczna, emigracyjna, nowatorska. Na tej długiej liście autorów zakazanych bądź przemilczanych znajdowali się nie tylko Miłosz, Jacek Mackiewicz czy Herling-Grudziński, ale Witkacy, Schulz, Gombrowicz, Lechoń, Wierzyński, Zofia Kossak jako autorka „Pożogi”, czy Baczyński.

Naszym zawołaniem bojowym i hasłem wywoławczym była nowoczesność, gdyż właśnie w świadomości społecznej literatura polska i światowa pozostawała wciąż okrojona do wybranych nurtów, zjawisk artystycznych i dozwolonych pisarzy. Byliśmy przez długie lata zarówno odcięci od polskiej tradycji patriotycznej i awangardowej jak i od XX-wiecznej literatury światowej i dlatego staraliśmy się ze swoją twórczością tę ciągłość tradycji i więź jakoś przywrócić. Stąd pisaliśmy o Dostojewskim – wtedy pisarzu jeszcze zakazanym, Kafce, Eliocie, Prouście, Faulknerze, Hemingweyu. Drukowaliśmy na naszych łamach wiersze najwybitniejszych współczesnych poetów amerykańskich i francuskich, pragnąc tym samym przełamać nasze zapóźnienie cywilizacyjne. Osobiście pisałem o markizie de Sade, o młodej Nałkowskiej, o literaturze fantastycznej. Słowem o tym, co było dotąd przemilczane i zabronione.

We „Współczesności” zamieszczaliśmy utwory różnych poetów i prozaików. Ceniliśmy sobie zwłaszcza wiersze i opowiadania, które uznawaliśmy za nowatorskie, oryginalne, odkłamujące w jakiś sposób naszą rzeczywistość, odbiegające od dotychczasowej sztampy okolicznościowych panegiryków sławiących władzę i kolejne rocznice rewolucji październikowej. W poezji przeważały wiersze Ośniałowskiego, Czajkowskiego, Bolka, Śliwonika, Bursy, Iredyńskiego, Białoszewskiego, Stachury, Brylla, Herberta, Poiświatowskiej, grochowiaka. W prozie opowiadania Szymańskiego, Brychta, Krzysztonia, Marka Nowakowskiego, Wojdowskiego, Władysława Terleckiego, Odojewskiego. Szczególnie wiersze pisane małymi literami, przeważnie bez kropek i przecinków, a przede wszystkim pozbawione rymu, budziły u wielu czytelników i miłośników akademickiej poprawności święty gniew i oburzenie. Zarzucano nam niechlujstwo i nieuctwo. Oburzał się szczerze na nas Antoni Słonimski, wypominając moim kolegom poetom w ich wierszach „brak rymu i sensu”. Był to czas wybitnych talentów w literaturze, zwłaszcza w poezji. Z poetów tej generacji zawsze bliscy pozostaną mi Andrzej Bursa, Roman Śliwonik, Stanisław Grochowiak, a z prozaików Andrzej Brycht, Jerzy Krzysztoń i Marek Nowakowski.

Kto był głównym wrogiem, przyjacielem?

Co przeszkadzało wrogom?

Mieliśmy zawsze wokół siebie „Zycziwych”. Którzy urabiali o nas różne dziwaczne opinie. Wynikało to głównie z tak zwanej bezinteresownej życzliwości, czyli głupoty i wszechpolskiej zazdrości zawsze utrudniającej wszelkie społecznikowskie działania – oraz zapewne głównie ze złości władz, że nie daliśmy się okiełznać jak nasi poprzednicy „pryszczaci”, wyróżniający się swoją wyjątkową uległością i serwilizmem (Mandalian, Gaworski, Dąbrowski, Woroszyński).

Co było główną trudnością (cenzura, przydział papieru, zakaz pisania o polityce)?

Myślę, że w początkowym okresie wydawania pisma taką najbardziej odczuwaną przez nas przeszkodą był stały brak

papieru, na który należało mieć oficjalne pozwolenie i pieniądze. Zatem wszystko było stale prowizorką. Zmuszało to nas do pewnej pokory i na przekór samym sobie do płaszczenia się przed kolenymi mecenasami. Cenzurę po kilku spektakularnych wypadkach nauczyliśmy się szczęśliwie jakoś omijać. Ba, nieraz dodawała nam niechcący pewnego rozgłosu, gdy interweniowała i coś nam skreśliła. Szczególnie chodziliśmy dumni, kiedy pisała o tym zagraniczna prasa lub mówiła o nas Wolna Europa. Tak było w przypadku wiersza Śliwonika „Węgrom”. Tak stało się z moim artykułem o Nałkowskiej, któr – mało kto wie – w pierwszej swojej wersji spowodował, że część nakładu 4. numeru poszła na przemiał. Dopiero ukazał się w wersji mocno okrojonej i w zapisie ZSSR a nie Sowiety – jak to było pierwotnie w moim tekście. Z czasem oswoiliśmy się z cenzurą i staraliśmy się ją jakoś przechytryć, w poezji posługując się wielką metaforą, a w publicystyce językiem Ezopowym.

Co było najfajniejsze?

Najfajniejszy z pewnością był niepowtarzalny klimat zbiorowej przygody i niezwykle silnie wtedy przeżywanej fascynacji literaturą. Łączyła nas wspólna pasja i poczucie bezpieczeństwa, jakie daje przynależność do środowiska ludzi z sobą zaprzyjaźnionych, dokonana z własnego wyboru. Cieszyliśmy się swoją młodością. Tym, że robimy to, co sprawia nam największą satysfakcję. Literatura była dla nas, dorastających w sztywnych okowach obyczajowych i politycznych swoistym duchowym i psychocznym azylem. Razem czuliśmy się wolni i szczęśliwi. Redakcja, knajpa, kawiarnia w większości zastępowała nasz dom rodzinny. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że byliśmy ostatnią cyganerią XX wieku. Stale spotykaliśmy się na szlaku Nowy Świat – Krakowskie przedmieście – Rynek Starego Miasta – jedynym miejscu Warszawy już powstałym z ruin. Wspólnie redagowaliśmy teksty, czytaliśmy sobie świeże wiersze i opowiadania, wymyślaliśmy nowe akcje. Hucznie, przeważnie w „Kameralnej”, „Manekinie” i w winiarni Fukiera – świętowaliśmy suto zakrapiając alkoholem – sukcesy, często przy tym wdając się w burzliwe spory i bijatyki z przypadkowymi osobami mającymi niepoehlebne zdanie o naszej twórczości. Zgoa czym wyjątkowym i niepowtarzalnym

były wieczory poetyckie w „Kamiennych Schodkach” i „Krokodylu” gromadzące tłumy publiczności, gdyż w tym okresie panował jeszcze kult artysty, poety jako „inżyniera dusz ludzkich” i dlatego niejedno uchodziło nam na sucho. Oczywiście, pod warunkiem, że nie podpadło się czymś politycznie. Wystarczy poczytać sobie „Pięknych dwudziestolecia” Hłaski, żeby wyobrazić sobie atmosferę tych czasów. Po wielu latach, jakie minęły od tamtych wydarzeń, najbardziej utrwaliły mi się w pamięci właśnie owe wieczory poetyckie na Starym Mieście, biesiady przy winie w winiarni Fukiera oraz nocne eskapady dorożką pustymi ulicami jakby wymarłej stolicy.

Pamiętajmy, że w tamtych czasach Warszawa była miastem zamkniętym dla przybyszów nie posiadających zameldowania i nawet nie marzyło się nam o zagranicznych podróżach, a zatem taka zabawa i przebywanie we własnym gronie właśnie stanowiło namiastkę wolności.

Jak tłumaczyć brak kobiet? mysogenia? Czy kobiety potrafią pisać? Czy rozumieją politykę? Naprawdę nie było w grupie żadnych ślicznotek?

To raczej sprawa przypadku, niż z naszej strony jakieś negatywne nastawienie do płci pięknej. Przeciwnie, zawsze nam licznie towarzyszyły różne ślicznotki. Z początku jako muzy, potem jako osoby piszące. Z talentem różnie bywa jak z urodzajem. Wtedy w latach 1956-58 wśród młodych twórców wyraźnie dominowały talenty męskie, a literaturą bardziej zajmowali się mężczyźni. Wybitne poetki ujawniły się nieco później. W samych początkach „Współczesności” jedynie wydały swoje debiuty prozatorskie Monika Kotowska i Magda Leja. Na szczęście nie istniała w tych latach literatura feministyczna w rodzaju twórczości Gretkowskiej. Osobiście nie jestem zwolennikiem sztucznego dzielenia literatury według płci, gdyż w sztuce liczy się talent, a nie płeć jako taka. W polskiej literaturze, poczynając od czasów pozytywizmu i Młodej Polski, pisarki zawsze odgrywały doniosłą rolę. W ogóle trudno sobie wyobrazić naszą literaturę XX wieku bez takich postaci jak Maria Jasnorska-Pawlikowska, Kazimiera Iłakowiczówna, Zofia Nałkowska, Helena Boguszeńska, Maria Kuncewiczowa, Zofia Kossak, Zofia Romanowiczowa, Danuta Mostwin i,

oczywiście, nasza znakomita noblistka Wisława Szymborska. Ale jak powiedziałem, w pierwszym okresie „Współczesności” pojawili się głównie ciekawi poeci i prozaicy. Przypomnę, że na łamach naszego pisma od pierwszych już numerów drukowały swoje wiersze Ludmiła Mariańska, Maria Szypowska, Halina Poświatowska, Barbara Sadowska (tak!), Małgorzata Hillar, publikowała swoje przekłady wybitna tłumaczka Jadwiga Kukułczanka, a zatem o jakimś uprzedzeniu do kobiet i dyskryminacji nie mogło być mowy. Na nasze wieczory zawsze przychodziły chętnie różne ślicznotki. Kiedyś z Jurkiem Czajkowskim podczas naszego redakcyjnego pobytu w Krakowie do siedziby ZLP na Krupniczej zaprosiliśmy cały rocznik studentek prawa z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszystkie przyszły! Obecnie coraz częściej główny ton naszej literatury nadają panie, np. Katarzyna Grochola czy Dorota Masłowska. W konkursach literackich, w których jestem jurorem – występują niemal same poetki. Być może młode autorki wierszy i powieściopisarki potrafią lepiej dostosować się do naszych czasów, niż raczej z reguły bardziej zachowawczy mężczyźni-literaci.

Kogo najlepiej Pan pamięta, jakie wydarzenie?

Po kilkudziesięciu latach, jakie upłynęły od tamtych dni, zacierają się twarze, rysy moich kolegów i przyjaciół, ale jest kilka osób, które na zawsze zapadły mi w pamięci. Do nich należy potężnej postury, były bokser, Andrzej Brycht bezsprzecznie jeden z największych talentów prozatorskich w naszej powojennej literaturze. Wielki zarazem rozrabiaka, będący stale w różnych opresjach życiowych z powodu swoich licznych romansów i bijatyk. Pamiętam, jak ten rodowity warszawiak z Powiśla (po Powstaniu Warszawskim znalazł się w Łodzi) a nie chłopak z Bałut, jak pisano, mówił z szelmowskim błyskiem w oku „Zobaczysz, Zbyszek, będę większy niż Hłasko”, a w czasie pewnego swojego wieczoru poetyckiego w „Krokodylu” udawadniał pięściami jakiemuś osobnikowi, że jego poezja jest zrozumiała i powinna się podobać publiczności. Brychta zapamiętałem jeszcze z jednego powodu. To ja namówiłem go do współpracy z nami i drukowałem jego pierwsze opowiadania: „Balbinę”, „Blit”, „Cygana”, „Dom bez klamek”.

Drugą osobą bardzo mi bliską był Marian Ośniałowski poeta prawie dziś zapomniany, autor przepięknych lirycznych wierszy. Taki polski prevert. Połączyły nas miłość do poezji francuskiej (tłumaczył Rene Chara, Aragona, Ponge'a, Michaux i innych) i wspólne zamiłowanie do długich wędrówek. Kiedyś Marianek przepadł gdzieś na całą noc. Wrócił do hotelu dopiero o świcie. Oznajmił, że na krakowskich Błoniach wachał kwiatki – tak pięknie pachniały.

Zawsze bliski pozostanie mi także Staszek Grochowiak wspaniały poeta zmarły w 1976 roku, z którym wspólnie redagowaliśmy „Współczesność” oraz biesiadowaliśmy w „Kameralnej” oraz u Fukiera, gdy zachodzili tam Dunikowski, Sapocznikow, Andrzejewski, Himilsbach. Podziwiałem zawsze sztukę utworów Staszka, jego niezwykłą wyobraźnię.

Czytałem często jego utwory jako pierwszy czytelnik. Autor słynnej „Rycerskiej ballady” miał wyjątkowo piękny charakter pisma. Kaligrafował słowa drobnym maczkiem, ale bardzo wyraźnie. Kiedyś poprosił mnie, żebym naszej maszynistce podyktował jego artykuł, bo boli go głowa. Dyktowałem naszej prześlicznej Ani ponad godzinę. Była to jego znana „Lekcja Faulknerowska”. Staszek miał paskudną cechę. Zawsze wszędzie się spóźniał. Nawet na spotkanie z ówczesnym ministrem kultury Stefanem Żółkiewskim przyszedł o tej samej godzinie, ale dwa dni później, czego byłem świadkiem. Pewnego dnia zorganizowaliśmy w redakcji poważną dyskusję o sytuacji w kulturze, na którą zaprosiliśmy różne wybitne autorytety. Uczestnicy spotkania zgodzali się, że w literaturze panuje straszliwy zastój. I oto w drzwiach sali konferencyjnej na krakowskim przedmieściu pojawił się Staszek. Radośnie wykrzyknąłem: - Nie ma żadnego kryzysu, jest przecież Staszek. Wszyscy się ze mną natychmiast zgodzili, że skoro mamy takiego znakomitego poetę, trudno mówić o jakimś kryzysie i dyskusja skierowała się na nowe tory. Szkoda, że temu wybitnemu twórcy poświęca się tak mało uwagi.

Z pisarzy starszego pokolenia życzliwie kibicujących naszym poczynaniom szczególnie zapamiętałem Artura Sandauera. Zawsze jako krytyk-polemista z czymś się nie zgadzał, gorąco protestował. W czasie przedstawienia, gdy Miron Białoszewski wystawiał swoich „Osmeuszy”, potrafił siedząc w jego mieszkaniu na podłodze głośno pokrzykiwać

„Nic z tego nie rozumiem”, zagłuszając całkowicie ezoteryczną Ludmiłę Murawską i Herlinga ku niezmiernej konsternacji widowni. Staralem się jemu coś wyjaśnić, ale on nadal pokrzykiwał swym tubalnym głosem. Autor „Bez taryfy ulgowej” bardzo mnie lubił i był zawsze wobec mnie niezwykle miły. Często odwiedzałem znanego krytyka i jego żonę Ernę Rozenstein w ich mieszkaniu na Iwickiej. Wtedy nie wiedziałem, że oboje, podobnie jak ja, pochodzą z kresów, Sandauer z Sambora, pani Erna z mojego Lwowa. Pewnego dnia, gdy do nich zaszedłem, wyjął z niebieskiej koperty jakiś przedmiot i zaczął mi nim wymachiwać. Początkowo myślałem, że to może jakaś cenna pamiątka po Brunonie Schultzu, z którym się znał i przyjaźnił, a to był mleczny ząb jego syna Adasia, którym chciał się przede mną pochwalić. W tamtych latach naszych literackich początków zaprzyjaźniłem się również serdecznie ze Stanisławem Rembkiem głośnym w dwudziestoleciu międzywojennym autorem powieści o wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku oraz wspaniałej „Ballady o wzdardliwym wisielcu” należącej do moich ulubionych lektur. Był cudownym kompanem i ogromnie pechowym pisarzem. Stale podpadał cenzurze i żył w biedzie. Wznowienie powieści „W polu” u Giedoycia przeplącił długoletnim milczeniem. Bardzo zawsze cieszył się, gdy go odwiedzałem w czasie wakacji w Pustych Łąkach i na Marszałkowskiej, gdzie przez wiele lat mieszkał. Pod koniec życia sędziwego pisarza przeprowadziłem z nim obszerny wywiad. Zamiast autoryzowania tekstu ucałował mnie w czoło. O tych moich przyjaźniach literackich mógłbym Pani opowiadać bez końca.

Kto wymyślił tytuł. Jakie miał znaczenie?

Jak mi wiadomo, tytuł wymyślił sam Leszek Szymański wtedy już ciekawie zapowiadający się prozaik, na podstawie którego opowiadania Roman Polański nakręcił swój dyplomowy film z łódzkiej wytwórni. Miał on stanowić zwierciadlane odbicie tego, co aktualnie działo się w literaturze.

Głównym celem pisma było umożliwienie druku młodym twórcom i autorom gdzie indziej niechcianym.

Co nowego wniosła "Współczesność" do ówczesnego życia literackiego?

Pośrednio na to pytanie odpowiedziałem wcześniej. „Współczesność” bezsprzecznie stanowiła przełom w naszym życiu literackim. Jej powstanie umożliwiło start twórcom młodego pokolenia oraz pisarzom otwartym na nowe tendencje w sztuce, przełamujące artystyczne kanony i wzorce XIX-ego realizmu, które ograniczały i uniemożliwiały pełną swobodę wypowiedzi twórczej. Udostępnialiśmy szeroko swoje łamy na zjawiska i nurty artystyczne w naszej kulturze i sztuce światowej przemilczane i nieznane. Pisaliśmy o literaturze francuskiej, anglojęzycznej, o Dostojewskim, Kafce, Prouście, Faulknerze, literaturze egzystencjalistycznej i o „nowej powieści” we Francji. U nas wypowiadał się o swoim teatrze Jerzy Grotowski, drukował wiersze przyszły reżyser filmowy Jerzy Skolimowski. Najbardziej „Współczesność” wyróżniała się swym ostrym pamphletycznym zacięciem, otwartością sądów – cechami będącymi czymś zupełnie nowym, nieznanym w całej ugrzecznionej i dworskiej prasie literackiej PRL-u.

Po 2. numerze „Współczesność” przestałyby się ukazywać. Oznaczałoby to, że nowo powstałe środowisko pisarzy skupionych przy piśmie zapewne bezpowrotnie straciłoby szansę rozwoju niejako w załączku. Nie tylko nie mieliby gdzie drukować najmłodszy, ale także spóźnieni debiutanci jak Marian Ośniałowski (rocznik papieża), Lech Emfazy Stefański, czy właśnie Miron Białoszewski i Zbigniew Herbert wtedy występujący dopiero swoimi pierwszymi tomikami, ale szerszej publiczności zupełnie jeszcze nieznanymi. Trzeba pamiętać, że ówczesna prasa literacka była potęgą. Kto się w niej nie publikował, praktycznie nie istniał jako twórca. Podobnie jak dzisiaj, gdy nie występują w telewizji. Młodzi nie mieli wtedy wstępu na salony „Nowej Kultury”, „Przeglądu Kulturalnego” czy „Życia Literackiego” – które zarezerwowane były głównie dla pisarzy o znanych nazwiskach jak Iwaszkiewicz, Maria Dąbrowska. Kazimierz Brandys, Jerzy Andrzejewski lub dla określonej koterii autorów całkowicie pokornych wobec partii. „Współczesność” otwierała szanse przed młodymi i niechcianymi gdzie indziej.

Zapytuje Pani, co jest najważniejsze teraz...

Myszę, że należy jakoś przywrócić naszą narodową tożsamość. Marzyło mi sięzawsze, że w niepodległej Polsce powstanie wielki spór o wartości i literatura odzyska należne jej miejsce. Niestety, tak się nie stało. Kolejne elity, pozbawione całkowicie humanistycznej wrażliwości i wyobrazni, zepchnęły sprawy kultury na margines społecznych zainteresowań i potrafiły je skutecznie obrzydzić, schlebując niewybrednym gustom tzw. „szerokiej publiczności” telewizyjnej.

**Wywiad z Dr. Leszkiem Szymańskim
Założycielem grupy „Współczesność”**

Rozmawia Danuta Błaszak



Jeszcze nie mogę uwierzyć, że spotkałam Dr. Leszka Szymańskiego, założyciela grupy „Współczesność”. Spotykamy się w Ameryce, na pokładzie "Queen Mary", na statku zacumowanym na stałe w Porcie Long Beach, de facto przedmieściu Los Angeles. Spotykamy się w 50-tą rocznicę założenia grupy „Współczesność”. "Queen Mary", niegdyś luksusowy liniowiec, ma chwalebna kartę wojenną, gdy służył Sprzymierzeńcom jako transportowiec. Obecnie to pływający hotel. Urokliwy nastrój i ciągle moje zdziwienie spotkaniem.

Dr. Leszek Szymański... Z czego ten doktorat?

Pracując na chleb studiowałem. W Londynie na PUNO uzyskałem doktorat z historii, jednocześnie uzyskałem B.A. z literatury polskiej na London University, w Kalifornii zrobiłem magisterium z Nauk Politycznych.

Doktorat i trzy fakultety, gratuluję. Wiem, że jest Pan człowiekiem światowym. Po wyjeździe z Polski uczestniczył Pan aktywnie w życiu kulturalnym Świata. Napisał Pan wiele artykułów, m.in. współpracował pan z "Dziennikiem

Polskim" w Londynie. Z "Kurierem" kapitana Tadeusza Kutka tamże, w USA z "Pitsburszczaninem" i "Gwiazdą Polarną. Może, zanim porozmawiamy o „Współczesności”, dowiem się, co teraz Pan porabia?

Pracuję nad biografią Jose Rizala, narodowego bohatera Filipin, poety i prozaika. Ukończyłem pierwszą część, ale praca zapowiada się na dłużej. Jose Rizal to kolosalna figura na skalę naszego Adama Mickiewicza, a jednocześnie Romualda Traugutta i Romana Dmowskiego. Postać niezwykła i unikalna.

Hm... Filipiny... potrafię znaleźć ten kraj na mapie, czasem się coś słyszy w wiadomościach... Kraj daleki od Polski, daleki od Ameryki... Co skłoniło Pana do wybrania Jose Rizala?

Z Filipinami łączy mnie więzy od 1958 roku, to jest mojego pierwszego tam pobytu. Moją ostatnią żoną jest Filipinka. Moi synowie są Pół-Filipinczykami.

Przepraszam ze osobiste pytanie. Ostatnia żona?

Było ich zbyt wiele i muszę, jak mój kolega Jerzy Czajkowski, stwierdzić, że lepiej o tym nie mówić.

Aż się dziwię, że wzięliście się za literaturę, zamiast zostać amantami filmowymi... Ale żadna żona Jurka nie była Filipinką.... Chciałam zapytać o coś jeszcze z teraźniejszości. Dlaczego pisze Pan po angielsku i dlaczego biografie? Jest Pan przecież zasadniczo nowelistą i powieściopisarzem.

Do pisania po angielsku skłonili mnie Mieczysław Grydzewski i Jerzy Giedroyc. Uważali całkiem słusznie, że polski pisarz emigracyjny nie wejdzie na rynek światowy pisząc tylko po polsku. Za przykład stawiali mi Vladimira Nabokowa no i historycznie Jozefa Conrada. Biografie piszę, bo porządnie napisana biografia ma jako taka szansę druku. Utwory literackie prawie żadnej. Moja monografia,

podkreślam monografia, o Kazimierzu Pułaskim w Ameryce, wydana przez Hippocrene, dzięki p. Jackowi Gałązce i gen. Tadeuszowi Maliszewskiemu, rozeszła się zadawalająco.

Gratuluje tych książek. Doceniam wkład kulturowy w szerzeniu polskich wartości. Książka o Pułaskim, którą znam, jak również ta o Solidarności, byłyby tematem następnych wywiadów. Na razie, w to rocznicowe, historyczne spotkanie, chciałam zapytać o grupę "Współczesność". Jak powstała?

Przez długi czas myślałem, że to był mój pomysł. Ale Jerzy Siewierski przypomniał mi genezę. Pamiętam dobrze. Wracałem z redakcji "Kultury" po miłej lecz bezowocnej rozmowie z Wilhelmem Machem. Wstąpiłem do Jurka, który mieszkał na Poznańskiej, na ostatnim piętrze kamienicy, tuż naprzeciw hotelu "Polonia".

Zasiadłem za biurkiem Jurka i zacząłem jęczeć, że "starzy" nie dopuszczają młodych do druku. Odwieczna chyba pretensja. Jurek słuchał cierpliwie, aż wreszcie wybuchnął, "Czego nie założysz własnego pisma?"

W ówczesnych warunkach politycznych pytanie wydawało się być retorycznym. Czymś w rodzaju oferty drukowania pisma na księżycu, z przeznaczeniem na odbiór na Marsie.

Powielacze musiały być rejestrowane, krążyły pogłoski, że trzeba będzie też rejestrować maszyny do pisania. Ale pytanie Jurka spowodowało jakieś moje olśnienie. Czemuż nie?

Była odwilż, ukazała się książka Ehrenburga, Dudincewa.

Ważyk narobił hałasu poematem o Nowej Hucie, gdzie dał do zrozumienia, że nie wszystko było tam idealne. Prawie każdy większy pisarz napisał nowelkę o wielkim inkwizytorze, czy wizycie u prezydenta, z której wynikało, że on szczerze wierzył w ideały komunizmu, ale został oszukany, a wypadku tych, którym udało się zachować godność, że prezydent był oszustem i łajdakiem. Było to też po słynnym przemówieniu Chruszczowa, które o ile mi wiadomo, w Polsce nigdzie nie było opublikowane. Mówiło się o rehabilitacjach, wszechwładzy U.B. i sklepach za frankami, kulcie Jednostki

i co dla mnie najważniejsze o tym, że powinno być wolno tworzyć grupy literackie.

Wiec postanowiłem stworzyć grupę literacką. Podstawą stało się Koło Młodych przy ZLP, w którym najważniejszą osobą był Roman Śliwonik, już wtedy znany poeta, którego "My" narobiły dużo rozgłosu.

Dzięki poparciu Śliwonika, udało mi się namówić większość członków Koła do poparcia pomysłu założenia pisma. Tytuł ustaliłem sam. "Współczesność" znaczyła, że będziemy lustrem rzeczywistości. Jeśli rzeczywistość była nieprzyjemna, to nie nasza wina.

W okresie socjalistycznego realizmu, twórczość realistyczna była czymś rewolucyjnym, ale na upartego nie kontrrewolucyjnym.

Udało się nam dostać od Kuryłuka bodaj dziesięć tysięcy złotych na jednodniówkę.

*Wiele ludzi nie zna tych czasów, a jeśli nawet im się mówi, często nie potrafią uwierzyć. Ale jeśli ktoś zna historię, będzie wiedział, że założenie niezależnego pisma w tamtych czasach było czymś zupełnie niemożliwym
Na pierwszy numer mieliście pieniądze. A następne?*

Przy pierwszym numerze pomógł nam technicznie głównie Jacek Wilk. Następnie jego kolega Andrzej Korczak. Andrzej nadał nam rozmachu, bo nikt z nas nie orientował się w drukarstwie, a Korczak pracował jako redaktor techniczny w *Expressie Wieczornym*. To on zaproponował małe litery w tytułach, które były wtedy tak straszliwą innowacją, tak że oskarżano nas o kontynuację "nusz w bzuchu". Korczakowi też zawdzięczamy szokująco nowoczesny układ graficzny.

Rozumiem, ale "nusz w bzuchu" mógł przynieść rozgłos, nie zaś pieniądze, przecież wtedy nie było pism prywatnych, każde pismo miało jakieś oficjalne zaplecze finansowe i jakiś szyldzik.

Zasadniczo tak, choć pisma katolickie i paxowskie, były w pewnym sensie prywatne.

Nie chce się tu rozwodzić, więc powiem w uproszczeniu, że przede wszystkim, trzeba było załatwić zezwolenie na wydawanie prywatnego, więc niezależnego pisma. Takie coś było w owym okresie bez precedensu. Pieniądze były następnym problemem.

W pierwszym numerze udało mi się przesznuć jedną, jako pierwszy numer. Chyba z przymrużeniem oka przez bardzo wtedy rewolucyjną cenzurę, zwana Mysiarzami od ulicy Mysiej. Więc odmówienie zezwolenia na numer drugi wyglądałoby na zamknięcie pisma. Za to nikt nie chciał brać odpowiedzialności. W końcu dano nam zezwolenie na wydawanie pisma, ale bez obietnic pieniężnych i co najważniejsze bez przydziału papieru. Liczono, że sami kłapniemy.

I tu wystąpił jak zbawiciel Andrzej Korczak. Wystarał się o papier z obcinków. Namówił dyrektora drukarni na Smolnej, by wydrukował na kredyt. Wydaliśmy wspaniałą drugi numer. Korczak załatwił dystrybucję przez Ruch i dużo numerów sprzedaliśmy sami po kawiarniach i na rogach ulic. Czasy były rewolucyjne i ludzie pismo rozchwyтали. Były pieniądze na numer trzeci, tylko, że...

Szymański zamilkł. Z pokładu widać mewy, fale Oceanu Spokojnego i kolosalny hangar "szaleństwa Hughesa", największego na świecie samolotu transportowca, który po przeleciał kilkaset stóp, poczym zwałił się do oceanu. Zamyśliłam się przypominając sobie tragiczny los największego statku świata "Titanica". W katastrofie "Gesi Hughesa", bo też tak zwano ten samolot, nikt nie zginął... Dr Leszek Szymański kontynuuje opowiesć:

Tak mieliśmy pieniądze, ale spotkała nas katastrofa. Cenzura, choć wtedy łagodna, zamknęła nam pismo. Interweniowałem gdzie się tylko dało. Bez skutku. Pamiętam, że podczas mych prób ratowania pisma spotkałem w zarządzie głównym Związku Młodzieży Polskiej, Józefa

Lenarta, byłego członka Koła Młodych, partyjniaka i wtedy gwiazdę "Sztandaru Młodych" pisma Z.M.P. Pamiętam jak dziś. Lenart uśmiechnął się ironicznie. Wiedział, po co zjawilem się w sztabie ZMP, i powiedział, "Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, niż tobie się uda wydać pismo." Lenart i Eugeniusz Kabatz reprezentowali Partię w Kole Młodych. Lenart porzucił Koło, gdy dostał pracę w "Sztandarze". Kabatz został bodaj prezesem. Był na paru zebraniach redakcyjnych, ale oficjalnie trzymał się na uboczu. Byliśmy bezpartyjni, więc podejrzani.

Rozumiem, zamknięto was przewencyjnie.

No nie zupełnie. Jak się wywiedziałem, Wydziałowi Prasowemu K.C. cały numer się nie podobał jako "niebлагadozny", ale tow. Wiesława omal nie trafił szlag, gdy przeczytał wiersz Romana Śliwonika, "Do Węgrów" i to w dodatku na pierwszej stronie. On to nakazał zamknięcie pisma.

Wiec jak odzyskaliscie zezwolenie?

Był to czas Rewolucji Węgierskiej, czas gdy groziła Polsce interwencja Sowiecka. Gomułka zwołał wiec przy Pałacu Kultury. Wdarłem się na podium i wręczyłem tow. Wiesławowi numer "Współczesności". Zaskoczony otworzył pismo. Cyknęły kamery i Gomułka został uwieczniony czytając "Współczesność" z wierszem "Do Braci Węgrów". Zanim mnie usunięto, zacząłem deklarować tow. Wiesławowi, że potrzebne jest pismo młodych literatów. Gomułka nagle się zaperzył, "Literaci, młodzi czy starzy, nie będą rządili Polską. Jeszcze jeden taki wiersz, a będziemy mieć radzieckie czołgi w Warszawie!" Zacząłem go zapewniać, że my myślimy tylko o literaturze, a wiersz Śliwonika jest wynikiem zapalczywości młodego geniusza, który jako dusza poetycka nie orientuje się w "realpolitik".

Gomułka nie wdawał się w dyskusję. Napisał coś na karteczce i wręczył to Arturowi Starrowi, kierownikowi wydziału prasowego K.C. Była to widać, krótka notka, bo Starr prawie natychmiast skinął głową i nakazał mi się stawić w K.C. następnego dnia.

Jakby podkreślić moment, mewy zaczęły nagle skrzeczeć. Wydało mi się, że Queen Mary, choć zacumowna, trochę się zakotłysala. Burzliwe to były czasy!

Chyba wtedy stanęliście już pewnie na nogach?

Miałem długą rozmowę ze Starrem. W konkluzji nie wolno było nawet pisać o polityce. I nadal byliśmy na własnym utrzymaniu, ale odzyskaliśmy zezwolenie. Nota bene Eugeniusz Kabatz zaczął sobie przypisywać interwencję u Gomułki. Nie bardzo wiem dlaczego, bo w jego pro-reżymowej karierze, taka zasługa była dość wątpliwa.

Musiałem straszliwie lawirować, by zdobyć pieniądze na wydanie każdego numeru, a przy tym bawić się w cenzora. W tym okresie Czajkowski i Ośnialowski zaczęli drukować wiersze w "Wiadomościach" Grydzewskiego.

Poeci nie potrafili zrozumieć, że to groziło zamknięciem pisma. Wezwano mnie do K.C. i dostałem porządną burę i na całe szczęście na tym się skończyło.

Zamknięto nas jeszcze dwa razy. Raz dekretem Cyrankiewicza, który zlikwidował studenckie pisma, których nagle pojawiła się cała masa. Następnie, gdy zamknięto "Po prostu".

W obu wypadkach była to nagorliwość nowych cenzorów z Mysiej. (Starzy cenzorzy sami się rozwiązali). Nierozumienia zostały wyjaśnione. W tym okresie niesłychanie mi pomagał Zdzisław Jerzy Bolek. Ten człowiek znał chyba każdego. Przez niego Jerzy Putrament nas protegował. Przez niego do redakcji dołączył Stanisław Grochowiak, a w pewnym okresie Zbigniew Herbert i Miron Białoszewski.

Czy Zdzisław Jerzy Bolek to ojciec Juliusza Erazma?

Tak, syn oddziedziczył talent po ojcu. Nota bene ZJB, tak go zwaliśmy, zginął w bardzo podejrzanym wypadku samochodowym.

Słyszałam o tym. Do tej pory brak wyjaśnienia, ale mówiąc o piśmie, chyba to był koniec zamykania?

Tak, ale pewnego dnia zadzwonił do mnie Starr i zawiadomił na rozmowę do K.C., ale rozmawiałem nie z nim, a z tow.

Bębenkiem. Bębenek mi oznajmił, że przechodzimy pod kuratelę "Ruchu", a jak się nam nie podoba, to pismo będzie definitywnie zamknięte. Rozmowa miała być tajemnicą, ponownie pod sankcją zamknięcia pisma.

Na zastępcę dano mi Józefa Lenarta, który miał nadawać polityczny kierunek pismu. Pomyślałem sobie, że Jozio nie będzie potrzebował rękawic na zimę, jak mu te włosy na dłoniach wyrosną, ale nie komentowałem i wyraziłem pokornie zgodę. Dorzucono mi też Tadeusza Strumfa. Oczywiście oskarżono mnie o oportunizm i lawirancтво. Nie mogłem się bronić.

Cała ta afera miała tę dobrą stronę, że dostaliśmy normalne etaty redakcyjne, pomieszczenie i sekretarkę i maszynistki itp. Do tej pory stronę administracyjną prowadzili nieugięci Jerzy Czajkowski i Andrzej Delinikajtis, natomiast Andrzej Chaciński był niezastąpionym, wspaniałym sekretarzem redakcji.

Lenart był uprzejmy i nie panoszył się. Wiedziałem jednak, że prędzej, czy później zostanie przeprowadzona czystka i wylecą przede wszystkim Czajkowski i Ośnialowski, a jeśli ja się ostanę, to prawdopodobnie jako sekretarz redakcji, albo figuralny zastępca naczelnego.

Jak znalazł się Pan w Indiach?

W tym czasie dostałem nagrodę Teodora Parnickiego i wyjechałem do Indii. Miałem kontynuować jego Koniec Zgody Narodów, wymagało to studiów nad grecką kulturą i historią

państwerek greckich w Baktrii i Indiach. Byłem i jestem zainteresowany filozofią hinduską. Spędziłem parę miesięcy w aszramie Guru, Shri Shvami Shivananda u podnóża Himalajów. W owym czasie mało kto wiedział, co to jest aszram, szwami lub guru.

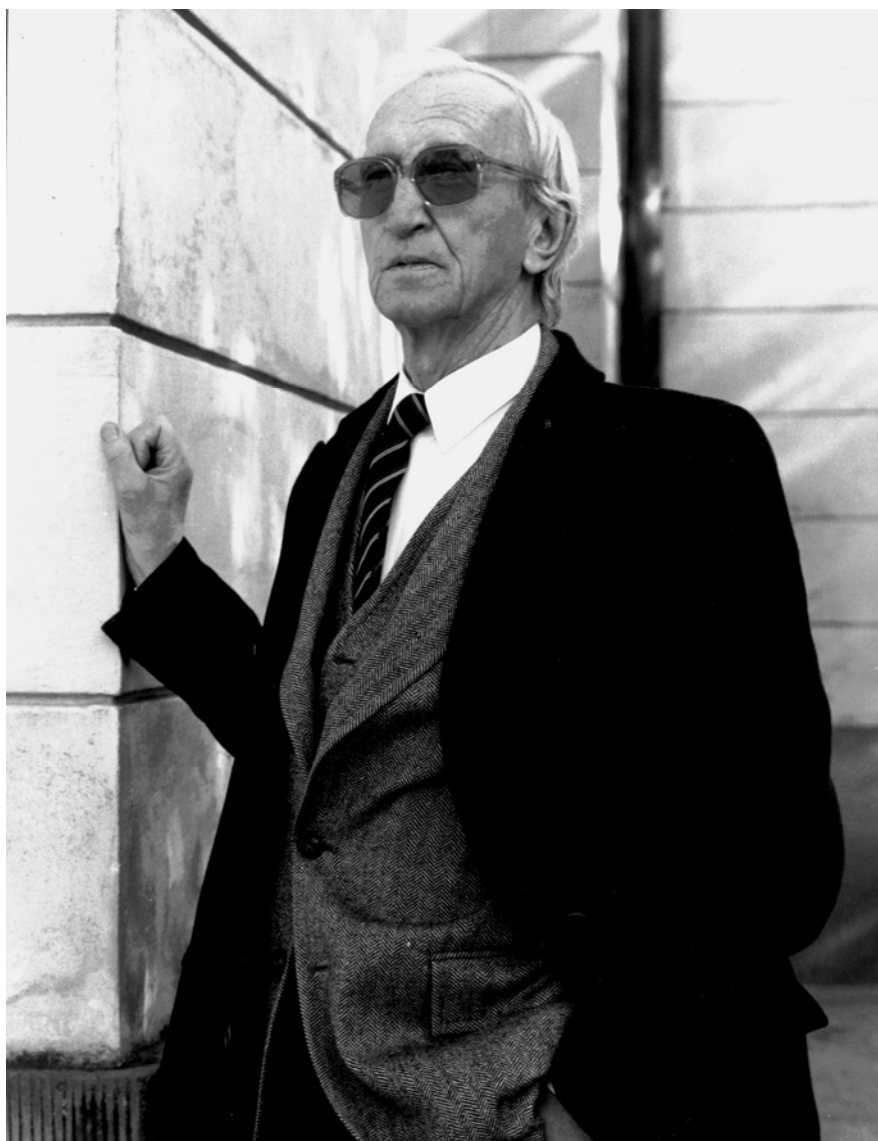
W czasie pobytu w New Delji spotkałem Artura Koestlera i Bolesława Wierzbiańskiego. Namówili mnie do wybrania wolności. Bardzo mi pomógł przedstawiciel Kongresu Wolności Kultury, Pradhabar Padhya. Robert Menzies, premier rządu australijskiego dał mi natychmiast wizę. Tak się znalazłem w Sydney. Wraz z Jurkiem Steimetzem pomagaliśmy przetrwać redaktorowi "Wiadomości Polskich" Janowi Duninowi Karwickiemu. W owych czasach pisma emigracyjne nie płaciły autorom. Pisało się honorowa dla idei politycznej, dla opozycji wobec warszawskiego reżymu i dla podtrzymania polskości. Tak się zaczęła moja wędrowna emigracyjna. Z Indii przez Filipiny do Australii, z Australii do Anglii, z Anglii do USA, gdzie to pani ma przyjemność mnie oglądać.

Jak się ułożyły losy pozostałych założycieli "Współczesności"?

Niestety od 1977 roku straciłem kontakt z polscością i Polonią. Mimo usiłowań nie udało mi się zebrać dokładnych danych. Proszę też mnie nie winić, jeśli opuszczę czyjeś nazwisko. Mówię z pamięci, bez dotarcia do archiwalnych numerów pisma i w zupełnym wyobcowaniu się od współczesnej literatury polskiej. Więc trochę chaotycznie: Jerzy Zdzisław Bolek zginął w podejrzanym wypadku samochodowym. Marian Ośniałowski popełnił samobójstwo w Paryżu. Życie na emigracji okazało się cięższym niż w PRL. Andrzej Brycht wrócił z emigracji do Polski i zmarł...., Jerzy Siewierski odniósł sukces jako pisarz powieści sensacyjnych i historyk masonerii, odszedł niedawno. Jerzy Łojek zmarł niespodziewanie i młodo. Podobnie jak Andrzej Korczak. Natomiast Roman Śliwonik, Jerzy Czajkowski, Jerzy Tuszewski, Piotr Wierzbicki, Zbigniew Irzyk, są w Warszawie. Andrzej Chaciński mieszka w Australii.

Nie udało mi się ustalić, co się dzieje, działa, ze
Zbigniewem Słojewskim i Andrzejem Delinikajtisem.

Bardzo dziękuję za rozmowę. Być może ten wywiad pomoże Panu
ustalić ich losy i innych Pańskich kolegów. Cieszę się, że mogłam
Pana poznać



Roman Śliwonik 1997
Fot. Agnieszka Herman

**Agnieszka Herman rozmawia z Romanem Śliwonikiem,
1997**

zasady

Po ośmiu latach od wydania ostatniej książki, Roman Śliwonik wydaje tom poezji z nowymi wierszami. Książka, która niedługo po tej rozmowie ukazała się w Bibliotece „Magazynu Literackiego”, nosi tytuł „Tylko wzruszenie”.

rozmowa Agnieszki Herman z Romanem Śliwonikiem:

Ostatni tomik wydał Pan w 1989 roku. Dlaczego taka długa przerwa; blokada wewnętrzna czy problemy z wydawcami?

Nie miałem nigdy trudności z pisaniem. Chociaż w życiu nie zawsze zdążam ze wszystkim, to napisałem dotąd 20 książek. „Rozszerzanie sekundy” złożyłem w Państwowym Instytucie Wydawniczym, w którym wydałem wcześniej wiele tomików, prozę i poezję. Ale oficyna ta miała w nowym czasie, jak wiele innych państwowych wydawnictw, trudności z dostosowaniem się do warunków gospodarki rynkowej. Mało wtedy drukowano poezji, rozwiązywano umowy z autorami, ale podpisywano je z innymi, kolejno wybranymi przez siebie autorami. mnie co prawda zapłacono honorarium, ale książkę oddano. Papierowe koło musi się przecież kręcić.

Nie zwrócił się Pan do innych wydawnictw?

Napisałem do dwóch. Z jednego przyszła odpowiedź, że mają dość swoich autorów. Z drugiego nawet nie otrzymałem odpowiedzi. Do chamstwa andal nie mogę się przyzwyczaić.

Nie było chyba tak źle. W 1993 roku pewien młody człowiek wznowił Pana pierwszy tomik, wierząc, że „w dobie spontanicznie rodzącej się wzmożonej potrzeby obcowania ze

światem duchowym człowieka, Śliwonikowa poezja wolności i ciszy trafia w swój czas i rychło znajdzie gorących wielbicieli”.

Tak. Janusz Kotara wydał „Ściany i dna”. Tacy może byli Kolumbowie, bezinteresownie chcący dzielić się ze światem tym, co uważają za cenne również dla nich samych. Tacy z pewnością są poeci. Może dlatego ja sam piszę – bo w końcu pisanie to dzielenie się albo zachowywanie drogocенności.

Na brak wielbicieli nie może Pan zatem narzekać.

Mogę. Chociaż rzeczywiście dostawałem telegramy, ludzie dzwonią do mnie i nie przedstawiając się dopytują, kiedy będzie kolejny tomik. Kiedyś ostatnio byłem an spotkaniu w Siedlcach, pewna studentka wyznała, że po mój autograf przyjechała z Krakowa. Kto powiedział, że powinno sizyta, jeli jest na sali cho jedna osoba.

Takich zaprzysięgłych zwolenników ma Pan wielu. Jerzy Kryszak wyznał w telewizji Ninie Terentiew, że an bezludną wyspę zabrałby przede wszystkie Pana książki. Czy ma Pan idealnego Czytelnika, dla którego Pan pisze?

Może mam kilka osób, do których się wewnętrznie zwracam. Są to zawsze ludzie wybrani spośród innych. Z pewnością są to ci, których kochamy, najbliżsi. Bóg, który pozwala mi się wypowiedzieć.

Czyli odnalazł Pan Boga?

Musiałem, albowiem życie bez Boga nie miaoby sensu. Musimy ten kosmos czymś lub kimś wypełnić. Bardzo trudno samemu mierzyć się z nicością. Próbowałem pustkę wypełnić poezją, ale w tej poezji zawsze był Bóg.

Nie tak postrzegają Pana krytycy. „Można w sumie uznać Śliwonika za najbardziej reprezentatywnego przedstawiciela „Współczesności”. które Marksa już się nie bało, a Boga na próżno usiłowało odkryć w sobie” – napisał Piotr Kuncewicz w jednym z tomów „Agonii i nadziei”.

Nie można uznać. Mało kto wie, że w założonym przeze mnie i grupę młodych pisarzy tygodniku „Współczesność: zamiast manifestu poszedł mój felieton. Czuje się jednak przede wszystkim przedstawicielem Romana Śliwonika.

W książce Kuncewicza możemy dalej przeczytać „Sama poezja natomiast nie dawała się sprowadzić do jakiejś jednej wyraźnej formuły, ani też do jakiejś szkoły lub wpływu. Z tomiku na tomik poezja się zmienia. Są oczywiście cechy stałe, takie jak nastrój, powaga, zamyślenie, ale całość jest już inna”.

Ja szukam, stale szukam. Może jest to potwierdzenie czegoś metafizycznego i mało pojmowanego, że człowiek rodzi się poeta, myśli poezją, a nawet nią żyje.

Pan urodził się poetą?

Tak. Jest to urodzenie szlachetne, ale kłopotliwe. Zmieniam się razem z moją poezją, chcę inaczej anżywać rzeczy. Z poezją człowiek mądrzeje, zmienia się perspektywa, wiele rzeczy wydaje się mniej ważnych. Są to jednak poszukiwania nie tylko formalne, ale i myślowe. Mam wewnętrzne przekonanie o słuszności rozwiązania myślowego i artystycznego i równocześnie świadomość rozminięcia się. To wieczne rozchodzenie się jest jedną z największych i najbardziej gorzkich inspiracji.

„Jest poetą egzystującym jakby obok rojnego poetowiska, chodzący własnymi – bywa pijanymi – drogami...” Tak charakterzyzuje Pana Jan Adam Borzęcki. Czy alkohol pomaga Panu w pisaniu, inspiruje?

Od 7 lat nie piję nawet piwa i nie dlatego, że nie mogę. Nie chcę.

Pana pokolenie miało odmienny stosunek do alkoholu. Grochowiak, Iredyński, Kryska związali się z nim aż po grób.

Pan się od alkoholu odżegna. Jakie jest to trzeźwe spojrzenie?

Bardziej wrażliwe, ciekawsze, szersze i wyostrzone. Nie wiem, po co piłem, przy mojej wyobraźni wódka tylko ogranicza. Ludzi przeciętnie zdolnych wódka na moment powiększa, kreuje. mają chwilę rozbłysku, wydają się nam, czy raczej sobie, ciekawsi. Ja muszę wyobraźnię swoją dyscyplinować – nie brak mi podniet, nie muszę ich szukać w alkoholu. Kiedyś z Grochowiakiem przeprowadziliśmy eksperyment, postanowiliśmy, że napiszemy po wódce wiersze, a potem sobie pokażemy to, co powstało. Oczywiście były to bełkoty. Wódka ma to do siebie, że mała ilość nie działa, natomiast większa powoduje, że nie można pisać. Napisałem poemat „Biała gorączka” - przedstawiający stan po wódce, ale to nie było napisane po wypiciu. Jeśli coś powypiciu powstało, na pewno nie było dobre.

Jest Pan zatem pisarzem, który traktuje poezję abrdzo tradycyjnie: powstanie, natchnienie, powaga...

Od początku jestem taki sam. Każdy może zostać poetą, każdy kto ma komputer, maszynę do pisania, czy wręcz kartkę i długopis. jednak stosunek do poezji jest również sposobem życia. Być poetą to powołanie i praca. W literaturze przeszkadzają mi piszący, chcący być poetami za wszelką cenę – ludzie, dla których jest to zajęcie, z którym nie chcą i nie potrafią zerwać, Zakamarki i rzekome zawilosci warsztatowe są dla mnie przejrzyste, jeśli ktoś klepie metaforę jak podeszwę, nawet jeśli siedział nad nią osiem lat, aż ją wyklepał jak szewc, rozciągnął, spłaszczył, nadał tkai czy inny kształt, to w dalszym ciągu jest to tylko klepanie. Za dużo tego usiłowania. Może takie formy powinny nazywać się zapisami, bo z wierszami najczęściej nie mają wiele wspólnego.

Ma Pan duże poczucie humoru, ale w wierszach nie ma po tym śladu.

Napisałem teraz komedię. W wierszach nie lubię ironii nadającej się raczej do błyskotliwych rozmów salonowych.

A rodzaj subtelnej ironii u Wisławy Szymborskiej...

Lubię czytać również i taką poezję, ale sam tą metodą się nie posługuję.

Nie chce Pan być rzemieślnikiem, nie nęci Pana blask salonów. Jaki jest styl Pana pracy?

Niewiele rzeczy wyrzucam, mało kreślę. Mało pracuję na papierze, mam myślowe skreślenia. Muszę nawet pisać anładnym papierze! Do pisania się przygotowuję, nie zapuszczam brody, tylko się gołę, zakładam białą koszulę. Muszę być czysty zewnątrz i wewnątrz, nie lubię pisać w kapciach.

Literatura nie ma dla mnie tajemnic warsztatowych, mogę być bezradny w sensie myślowym, być może nie przyszła na mnie pora mądrości najpełniejszej, ale wobec samej twórczości nie jestem bezradny.

A czy nie przeszkadza panu sytuacja stabilności: uczuciowa i materialna?

Mam piękną żonę, którą kocham. materialna stabilizacja mi nie grozi, wszak żyję z pisania.

Imperatyw pisania może być przekleństwem stabilnego układu rodzinnego.

Początkiem jest powołanie, wybranie. Potem mądrzejemy w trakcie procesu pisarskiego. Dzięki poezji osiągnąłem trochę inny wymiar człowieczeństwa. Ale gdy człowiek z jakichś potrzebnych mu względów uzna się za kogoś odrębnego, to równocześnie dostrzega, że gdyby nie był z innymi, nic by nie osiągnął.

Proszę mi powiedzieć, dlaczego w Pana poezji nie ma cytatów, nie posługuje się Pan nazwiskami innych, nie ma śladu lektur...

Co miałem przeczytać – przeczytałem, nie powołuję się na lektury. Wydaje mi się, że pisanie erudycyjne nie powinno się znaleźć w tkance myślowej, z jakiej składa się wiersz. Ktoś napisał, że jestem jedynym pisarzem polskim, u którego nie znalazł motta. Nie lubię podpórek myślowych, czasami motto więcej mówi niż wiersz. Po co więc dalszy tekst? Poezja to kształt, dramaturgia, to słowo, czystość, nawet gdy jest z samego brudu. Wsadzanie doń obcych twórców jest barbarzyństwem. Nie lubię szarości, mówienia o niczym, wewnętrznego pędu poety, żeby zabłysnąć jedną metaforą. Wygląda to tak, jakby poeta terminował u tekściarza, łowił złotą myśl, która uwiedzie czytelnika.

Stawia Pan sprawy na ostrzu noża.

Czyżbym miał coś z kanodziei?

Na to wygląda. A czy bycie poetą to misja, powołanie, sumienie narodu?

Tak, a jeśli niezupełnie – to chociaż jest to zapis świadomości lub braku świadomości. Chociaż poezja nie jest od tego, by zastępować publicystykę. Dosłowność gazetowa zabija poezję. Zapis alkoholowy, orgiastyczny, narkotyczny, polityczny jest tylko nieporadnością.

W swoich utworach sięga Pan po struktury uniwersalne, ale znajdują również takie, które odnoszą się do sytuacji tu i teraz. Pojawily się nawet nazwiska polityków.

Dwa razy. Po wybuchu stanu wojennego napisałem list otwarty do generała Jaruzelskiego, a w najnowszym tomie będzie wiersz o Wałęsie. Zasłużył on na to tak – jak człowiek

epoki – Papież. Los umieścił mnie na nieładnej równinie, która nazywa się Polska i jako człowiek myślący mam obowiązek zajmowania się sprawami kraju. Taka jest rola pisarza.

Czy poezja powinna być dokumentem czasu?

Muszę czasem odzywać się w imieniu kraju, muszę upomnieć się o innych, o upokarzanych, ja mam obowiązek nazywania spraw takimi, jakie są.

Dlaczego nowy tom zatytułował Pan „Tylko wzruszenie”?
Kiedyś powiedział Pan, że wiersz bez spoidła, jakim jest wzruszenie – a wzruszenia bywają różne – jest niewypałem.

Chciałem, żeby czytający mógł przeżyć wzruszenie i zamairu tego nie ukrywam.

Cenimy każdy wiersz, ale w książce służy on również temu, że staje się on budulcem mającym stworzyć dzieło. Książkę. Nielicznym to się udaje. Sądziłem, że będę lojalny wobec czytelnika, mówiąc o co chodzi, czego może poszukiwać, czego może się spodziewać.

Oczywiście mógłbym pisać kryminały, ale piszę wiersze – po to, żeby wywoływać w ludziach pewien rodzaj duchowości, ponieważ widzę, że tej duchowości brakuje.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Agnieszka Herman

REALIZM WSPÓŁCZESNOŚCI

(Nowakowski, Brycht, Grochowiak, Hłasko, Szymański)

Danuta Błaszak

W wielu artykułach encyklopedycznych określa się Marka Nowakowskiego jako twórcę realizmu peryferyjnego. Jest to stwierdzenie bardzo niedokładne. Realizm w literaturze datuje się dosłownie od tysięcy lat i przeżywał swój powieściowy rozwój w drugiej połowie XIX wieku i na początku XX. Nie pragnę wdawać się w rozważania historyczno krytyczne. Muszę więc zastosować pewne uproszczenia.

Marek Nowakowski jest jednym z głównych twórców realizmu "współczesności", który był reakcją przeciw "soc-realizmowi". Realizm peryferyjny jest dość zbliżony do naturalizmu, ale różnił się przez swój wybór tematyki i pewien moralizm, wynikający nie z dydaktyzmu, lecz artystycznego efektu. Słowem nie był to "kawałek życia", "literatura naukowa", do czego zreszta pretendowała też literatura "soc-realizmu".

W połowie lat 1950 nazywano przedwcześnie, a być może ironicznie, Andrzeja Brychta, Stanisława Grochowiaka, Marka Hłaskę, Marka Nowakowskiego i Leszka Szymańskiego wielką Piątką Realizmu (piątka była najlepszym szkolny stopień). Andrzej Brycht wkracza na arenę literacką - zabłysnął, zgasł i został niesłusznie zapomniany. Stanisław Grochowiak zarzuca prozę, jest znany jako wielki poeta, Marek Hłasko odchodzi w zaraniu swej twórczości.

Marek Nowakowski kontynuuje swą twórczość i jest bez wątpienia, jeśli nie najznakomitszym z naszych prozaików, to jednym z nawiąbitniejszych pisarzy

Leszek Szymański zaczyna pisać swe opowiadanie w tym samym okresie co Marek Nowakowski. Ciekawym jest, że często łączy ich ta sama tematyka. Na przykład obaj piszą o "pensjonarkach" hotelu Polonia w Warszawie, wzmiankują "Piękną Izę", o półświatku i lumpenproletariacie. Obaj celnie oddają lokalny koloryt i język*. Leszek Szymański wyjeżdża do Australii i udaje mu się opanować język angielski jako narzędzie literackie. Niezwykle osiągnięcie dla

dorosłego człowieka, pisarza, który ma już swoje osiągnięcia w innym języku.

Szymański i Nowakowski kontynuują swą metodę twórczą. Nowakowski po polsku, Szymański po angielsku. Nie będę się rozwodzić nad twórczością Nowakowskiego. Jest znana w Polsce i słusznie ceniona. Szymański spotyka się z nie mniejszym uznaniem w Australii, ale nie z sukcesem finansowym. Tam ten rodzaj twórczości nie jest czymś nowym. Zwykle niewygodny dla zarówno dla wydawców jaki dla władz - niepożądany i niepopierany. W pismach przeważają cukierkowane opowiadania przeznaczone dla niepracujących kobiet. Pisma literackie płacą honoraria od ilości sprzedanych egzemplarzy. Szymański nie pisze tak dużo jak Nowakowski, zarabia na życie pracami przypominającym roboty Londona czy Gorkiego. Na pisarstwo może poświęcać tylko czas wolny od żmudnej pracy zarobkowej i studiów. Kończy trzy fakultety, uzyskuje stopień doktora nauk historycznych. Jego prace historyczne i biograficzne to sprawa do osobnego artykułu. Australijscy krytycy jego prozy literackiej zauważają mistrzostwo formy, realistyczne oddanie języka, zaangażowanie społeczne Szymańskiego i wrażliwość na krzywdę ludzka - wyrządzana nam i którą my wyrządzamy, choćby nieświadomie.

Zbiór opowiadań Leszka Szymańskiego, zatytułowany "Ucieczka pod Zwrotniki" (Escape to the Tropics) zostaje uznany przez popularny dziennik sydneyjski "Daily Telegraph" za książkę tygodnia. Autor recenzji, Frank Morgan, nazywa problematykę opowiadań "bigosem polsko-australijskim" – „Ponura Europa i Niewesola Australia”.

Obaj "współczesnościowcy" kontynuują swe pisarstwo. Nowakowski jest znany w Polsce jako twórca realizmu. Szymanski znany jest również jako jako założyciel "Współczesności".

Polecam uwadze krytyków wielką piątkę realizmu peryferyjnego jako temat wart dalszych opracowań literackich.

Danuta Błaszak

Roman Śliwonik
rok 2006, z cyklu "Dom z wierszy"

MIESZKANIE PO MATCE

Mieszkanie mojej matki
nie lubi mnie
stół w pokoju wyraźnie się cofa
kiedy kładę dłoń

tapczan w kącie obrzmiał niechęcią
szafy są płaskie
zamykają się przede mną
cofnęły się
oczy z fotografii omijają mnie

obrazy milczą Zgasły widocznie
nie ma odpowiedniego światła
światła kogoś
kto tu mieszkał
w kuchni Nie odmrożona lodówka
jest przepaścią Szczerzy się półkami
w łazience nie ma wody
z kranu z trudem kapią
wyciskają się krople

Mieszkanie nie chce mnie
ma żal do mnie
za siebie
ze nie zachowało się lojalnie
nie odpedziło ataku
ze pozwoliło zabrać Matkę
przez kilku obcych ludzi
ze nie wszczepiło się w nią pazurami

każdy dom ma je w sobie
kryją się w ścianach
właścicielka mogła tu zostać
nie odeszłyby jak ktoś obcy

kto zniknął w zimnym świecie
bez ścian

mogłaby tu jeszcze pożyć
choćby jeden dzień
jeszcze chwilę
w której mieszkanie
mogłoby zapłakać
napęlić się łzami
a nie jak teraz pustką
z rozpaczą już nigdy nie wypowie
dom Nie zdążył
nie ukląkł Nie pokłonił się
został
sam

rozmawia Danuta Błaszak

Rozmawiam z Jurkiem Czajkowskim, założycielem grupy :”Współczesność”. Poeta, z wykształcenia socjolog, syn ziemi ciechanowskiej, urodzony w Ościsławie 13 stycznia 1931 roku w rodzinie drobnoszlacheckiej. Autor powieści historycznych, dramatów, a przede wszystkim znakomitych tomów poezji „Zadymione pejzaże”, „Dalekie drzewo” „Pasje i pasjanse”, „Śmiech Pompei” „Cienie Gibraltaru” „Wiersze wigilijne”...

Wiersze Czajkowskiego publikowano w almanachach i antologiach nie tylko w Polsce. Poeta liryczny przemawiający obrazem stanowiącym projekcję własnych przeżyć i przemyśleń, tradycją rodzinną związany z dziewiętnastowiecznymi zrywami powstańczymi(1830, 1863) oraz własnymi przeżyciami okrucieństw z okresu okupacji niemieckiej i stalinowskiej - widzi nierozzerwalny związek pomiędzy losem człowieka i jego kraju a historią narodu. Tworzywem poetyckim jest dla niego krajobraz i związany z krajobrazem i tradycjami historycznymi człowiek. Rzetelna i surowa, odarta z mitów i fanatyzmu wiedza historyczna, pokora wobec faktów.



4 września 1995 roku o godzinie dziewiątej rano zaterkotał telefon. Ktoś ostrym głosem przedstawił się, że reprezentuje wywiad rosyjski w Polsce i że na rozkaz tego wywiadu ma mnie zlikwidować przed upływem dwudziestu czterech godzin. Mówił charakterystycznym komunistycznym żargonem:

- Jaka śmierć wybieracie, towarzyszu? Szkoda by było, gdybym musiał podpalić klatkę schodową czy wysadzić dom w powietrze. Będziecie mieć na sumieniu śmierć niewinnych mieszkańców. Zdecydujcie się, jaki wybieracie rodzaj śmierci, zanim będzie za późno.

Rzekomo ośmieszyłem w telewizji któregoś z popieranym przez nich polityków.

Istotnie miałem program w ramach redakcji wojskowej telewizji polskiej o przyczynach zamachu na życie gen. Władysława Sikorskiego w Gibraltarze i o tym, kto za tym stał. Uczestniczyłem także w innych programach tej redakcji, byłem także konsultantem literackim w innych audycjach. Zdawałem sobie sprawę, że nie tylko nasze służby specjalne oglądają te programy.

Do tej pory nie wiem, czy ktoś chciał mnie przestraszyć, czy to był tylko makabryczny żart. Oczywiście od razu zawiadomiłem pogotowie policyjne.

Pogróżkę dostałeś już w nowej rzeczywistości, po tym jak udało się przetrwać komunizm.

Władze Polski Ludowej doprowadzały do sytuacji, iż wybitni pisarze, naukowcy opuszczali Polskę. Poeta grupy "Współczesność" Marian Ośniałowski powiesił się w podparyskim lasku Bulońskim w 1964 roku. Rozpędziły władze grupę literacką "Współczesność", przedtem zlikwidowano tygodnik studencki "Po prostu". Byłem represjonowany za moją twórczość przez MSW, za kontakty z Londynem.

W "Wiadomościach" w Londynie 20 kwietnia 1958 wydrukowano mój wiersz: "Polski krajobraz" - "odejda

handlarze zieleni/ zakwitnie na przekór czerwonym
dłoniom... / M.in. za te wiersze usunięto mnie z redakcji
"Współczesności".

W dramacie "Wernyhora" roztaczam wizję przyszłych dziejów
Polski - poprzez przeszłe - na kanwie legendy Wernyhory -
dziada, wizjonera, proroka.

Podobnie w tragedii "Śmigły" ukazuję, że postawa naczelnego
wodza była jedyną z możliwych do przyjęcia dla ówczesnej
Polski.

Zacytuję Miłosza: praca pisarska nie jest zajęciem wyłącznie
proceduralnym, czerpie soki żywotne w całości życia
ojczyzny, a nawet świata. To, co się dzieje w życiu
publicznym, nie może być obojętne dla pisarzy, a wstrząsa
nimi tym bardziej, gdy życie państwowe czy narodowe staje
na rozdrożu czy też znajduje się w punkcie zwrotnym, gdy
powstają pytania i wątpliwości, których ostatecznym
przedmiotem jest całość kultury narodowej.

I ja tak też widzę posłannictwo pisarza - żyć życiem narodu i
jego państwa - zarówno tym co się dzieje na zewnątrz nas
jak i wewnątrz. I dlatego w mojej twórczości tak często
przewijają się wątki dotyczące żywotnych spraw kraju, a
nawet w relacji z sąsiadami - nie tylko bieżącymi, lecz także z
przeszłości.

Na podobne nuty gram i w moim tomie "Wiersze wigilijne"
oraz "Ballady polskie". Nie interesuje mnie liryka osobista, to
strata czasu - to może być ważne dla mnie piszącego, ale na
pewno nie dla czytelnika.

Hm... Ja wręcz przeciwnie: sprawy narodowe, historyczne
widzę zawsze poprzez pryzmat liryki osobistej. Ale podziwiam
Twoje wiersze, wzruszają mnie, więc może ta różnica
traktowania tematu jest sprawą jedynie powierzchowną. A
powiedz... czy jak byłeś dzieckiem, ktoś czytał ci bajki?

Zabrakło na to czasu, byłem dzieckiem wojny. Musiałem
pracować w gosodarstwie rodziców. Przeciągały dwa fronty,
na moich oczach padali zabici i ranni. Od lutego 1945 roku

mój ojciec był represjonowany przez UB. Więziono go przez pół roku, aż do amnestii. Przynoszono ubranie do prania - były na bieliźnie ślady krwi. Pisałem o tym w wierszach.

Jak wyglądały twoje dzieje po wojnie?

Jest taki wiersz Antoniego Bogusławskiego "Polskim spadochroniarzom" - drukowany w Londynie w książce gen. Sobasowskiego "Najkrótszą drogą". Dla PSZ na zachodzie droga okazywała się wcale nie krótka, ale okrężna i długotrwała. Tysiące polskich oficerów i żołnierzy nigdy nie wróciło do kraju, a na tych, co wrócili, czekały więzienia i wyroki. Jak w przypadku Andrzeja Czaykowskiego "Cichociemnego" - wyrok śmierci wykonano w 1953 roku w więzieniu mokotowskim. Takie to były czasy.

Związek Młodzieży Demokratycznej, flirt z Stronnictwem Demokratycznym, w końcu PZPR. W liceum z niedojadania zagrożony gruźlicą wstąpiłem do partii. Inaczej czekały mnie suchoty. Trzeba było opowiedzieć się po stronie przegranej AK albo po stronie nowego. Jako syn AK-owca musiałem poznać te struktury, musiałem wiedzieć, czemu się przeciwstawić..

15 lat pracowałem w dziennikarstwie, 25 lat jako redaktor w wydawnictwach. Miałem prawo inicjatyw wydawniczych. Korzystałem z tego bardzo często. Wyżywałem się w tym, wiele książek iskrzyło talentem, wiele niedopracowanych, niedojrzałych.

Jako kierownik Wydziału Kultury w Zielonej Górze utworzyłem Lubuskie Towarzystwo Kultury z sekcją literacką i muzealną, z powołaniem czasopisma regionalnego.

Po październiku 1956 zachęcony opinią Grydzewskiego byłem animatorem ruchu polskich twórców - współzałożycielem grupy literackiej „Współczesność”. Zawodowo pracowałem jako redaktor i edytor.

Później jako kierownik wydziału kultury DRN Warszawa Wola. Domagałem się przekształcenia sali kinowej domu kultury zakładów Kasprzaka w teatr na Woli...

Trzeba było obronić pracę magisterską, stąd z żalem z Woli odszedłem, a byli tam wspaniali działacze kultury.

W 1977 r sekretarz KC Łukaszewicz zaproponował mi status swojego doradcy i kierownika sektora wydawnictw w KC. Mówiłem o kryzysie ekonomicznym, ideologicznym, a jemu podlegała propaganda ideologia. Nie spodobało mu się to. Udało mi się zostać archiwistą w biurze prac naukowych Naczelnych Archiwów Państwowych. Praca jakże inspirująca, dostęp do teczek...

Lecz ciągle mnie gnało do własnego pisania i tak powstał zapis książki "Agent główny" o założycielu agencji głównej hotelu Lambert w Istambule - o Michale Czaykowskim - Sadyku Paszy.

Michał Czykowski to bardzo ciekawa postać. Porucznik jazdy wołyńskiej, który po upadku powstania listopadowego przebił się z pułkiem Różyckiego do Francji, twórca haseł encyklopedycznych... Rozumiem, walka narodowowyzwoleńcza, tradycja rodzinna... Ale czy naprawdę nigdy nie pisałeś wierszy miłosnych?

Popełniłem kilka takich wierszy. Najczęściej nie dotyczyły żadnej konkretnej kobiety, mówiły ogólnie o tęsknocie za kimś bliskim, o domu, o dziecku.

Wielokrotnie w wywiadach pisarze wspominali o tym, jak wiele zawdzięczają swoim żonom. Ja nic takiego o moich żonach nie mógłbym powiedzieć.

W których twoich tomikach można znaleźć najwięcej motywów osobistych?

"Pasje i pasjanse", "Dalekie drzewo".

Dziękuję za rozmowę. Życzę, żeby wszystkie twoje pasjanse okazały się dobrą wróżbą.

Rozmawiała Danuta Błaszak

Druga część wywiadu z Leszkiem Szymańskim

rozmawia Danuta Błaszak

(przedruk z „Gwiady Polarnej” 2006)

Tym razem spotykamy się na Florydzie na mostkiem nad Wekiwą. Ta wiosna jest szczególna. Aligatory atakują ludzi. Nigdy przedtem w historii Florydy czegoś takiego nie było, żeby aligatory rzucały się na ludzi. Późna wiosna to sezon godowy aligatorów. Ale, powiedzmy sobie prawdę, wiosna jest co roku, a aligatory atakują dopiero teraz, w 2006. W ciągu tygodnia były 3 ofiary śmiertelne. Może trzeba było umówić się w innym miejscu, myślę zerkając na wodę.

Leszek nie wie o tym. Siada na mostku, moczy stopy w wodzie. Nie chcę go straszyć, nie musi wiedzieć wszystkiego. Zaczynamy rozmawiac.

Leszku, pięćdziesięciolecie powstania "Współczesności" jest ogromnie ważne w historii polskiej literatury. Rozmawialiśmy już o tym, ale czytelnicy Miasta Literatów wciąż mają wiele pytań. Dostajemy bardzo dużo listów. Proszę mi wybaczyć, jeśli moje pytania będą się pokrywać z pytaniami z naszego pierwszego wywiadu. Chciałabym wyjaśnić jak najwięcej, zapisać puste kartki w historii literatury

I nawzajem ja przepraszam za powtorki w odpowiedziach.

Czytelnicy Miasta Literatów często porównują „Współczesność” z „Po prostu”. Słyszałam, że "Współczesność" była przeciwstawiana ideowo "Po prostu". Jak to wyglądało"?

Rzeczywiście mogło to tak wyglądać. Podczas gdy prawie każde pismo pisało o polityce, myśmy wspominali o tym półgębkiem. Zabroniono nam pisać na tematy polityczne, ale

mało kto o tym wiedział. I nie tylko to. Ponieważ byliśmy niezależni, nie wiadomo było, co nam strzeli do głowy.

Tymczasem "rewolucyjne i rewelacyjne" artykuły w prasie zwłaszcza w "Po prostu" były inspirowane przez grupę Gomulki i przepuszczane przez przychylną mu cenzurę. Myśmy byli mimowolnymi i nieobliczalnymi sojusznikami Gomulki.

Typowym przykładem było zamieszczenie przez nas na pierwszej stronie wiersza dedykowanego „Węgrom”, pióra Romana Śliwonika. Podczas gdy Gomulka bał się jak ognia narazić się Sowietom. Z miejsca zamknął nasze pismo. Takiego wiersza "Po prostu" by nie zamieszcilo, ani żadne komunistyczne pismo. Jak mi powiedziano, cenzor, który to przepuscił, stracił pracę.

Powiedziałeś, że rewolucyjne artykuły w „Po prostu” były inspirowane przez Gomulkę? Przecież Gomulka to był komuch.

(Leszek wyglądał na oburzonego. Włożył nogi głębiej do wody. Wyprostował się i spojrzął na mnie z oburzeniem.)

Trzeba znać historię. Gomulka był olbrzymim przełomem. Bez niego nie byłoby Wałęsów. Nastąpiły reformy, amnestie, rehabilitacje zwalnianie z więzień, wyrzucenie najgorszych Ubeków i niestosowanie tortur, zaprzestanie nagonki do sowchozów, dość duże uniezależnienie się od Sowietów, usunięcie największych nonsensów w socrealizmie i gospodarce, prawie polski socjalizm, choć nadal bez ludzkiej twarzy. Czyżby termin „Polski Październik 1956 roku” nic nie znaczy? Czy ludzie zapomnieli o Wypadkach Poznańskich? Nie mam do Gomulki wielkiej sympatii. bo trzeba było nie jego, ale kogoś mądrzejszego wybrać. Ale w porównaniu z

Bierutem i Stalinem to był anioł. A ponieważ siedział w mamrze, dla przeciętnych obywateli był jak Wyszyński. A sklepy za Żółtymi Firankami? A rehabilitacja A.K. Nawiązanie kontaktu z Zachodem, a zwłaszcza Londynem? Akcja łączenia rodzin, czyli mała emigracja? Czy to zapomniane? Tłumaczenia książek z Zachodu, zaprzestanie nawałnicy książek i filmów sowieckich?

Nawet się nie mścił na mojej matce, jak wyjechałem z kraju, ani na kolegach. Choć oczywiście partyjniak i swą linię partyjną pilnował.

No tak – zgodziłam się. – Rzeczywiście "Po prostu" zasłynęło jako pismo rewolucyjne, A są głosy, że wywołało polski październik.

"Po prostu" spełniło ważną rolę, ale było tylko jednym z elementów przełomu politycznego, który miał wiele przyczyn, z których najważniejszą była śmierć Stalina, no i jego polskiego pełnomocnika - Bieruta.

Nie zapominajmy, że nie było wtedy wolnej prasy, że przechodziło tylko to, co przepuszczała cenzura. Rewelacje "Po prostu" były ogólnie znane. Prawdziwą rewelacją było to, że te "rewelacje" ukazały się w druku. Artykuły, że A.K. nie była zapłutym karłem reakcji, że wielu ludzi siedzi niewinnie po więzieniach, że istnieją sklepy za żółtymi firankami i że marsizm-leninizm nie są zawsze nieomyłne i że był kult jakiej niewymienianej imiennie jednostki, że trzeba rehabilitować ludzi wyrzuconych z pracy za bliżej niesprecyzowaną nieodpowiednią postawę polityczną, że warto spojrzeć na socjalizm w Jugosławii i że PGR-y nie funkcjonują sprawnie – to były ogólnie znane fakty i niezbyt nowe opinie. Nota bene, rehabilitacja zaczęła się od zwracania legitymacji partyjnych poplecznikom Gomułki.

Pod mostkiem przepłynęły z godnością cztery pasiaste ryby, podobne trochę do polskich okoni. Koło kamieni przy brzegu coś leżało. Mógł być to kawałek drewna. To na pewno nie aligator, pomyślałam. Aligator potrafi upodobnić się do kłody drewna. Można się pomylić. Leszek w zamyszeniu przyglądał się palmom, a może błękitnemu pogodnemu niebu.

Kim byli Pryszczaci? – zapytałam. – Wielu czytelników pytało o Pryszczatych.

To pokolenie głównie rocznika lat 1920-tych, tak jak my byliśmy zasadniczo rocznikiem 30-tym. Tamci obsiedli Sztandar Młodych i "Po prostu", pisma Związku Młodzieży Polskiej, a nawet "Świat Młodych" niegdyś pismo przygodowe. Byli to przedstawiciele soc-realizmu, bezwzględnie posłuszni Partii jak Wojciech Krassowski, Bohdan Czeszko czy Witold Woroszyński. Nota bene, wielu ich rówieśników poniewierało się po więzieniach.

(Pisarz przestał spoglądać na niebo.)

Kto był głównym wrogiem waszego pisma?

Wrogów mieliśmy bez liku i to różnych maści. Wyliczam bez usiłowania nadawania im hierarchi ważności. Byli więc zazdrośni, którzy uważali, że oni by wydawali lepsze pismo, a tymczasem młode szczeniaki mają swoją gazetę z niewiadomej racji. Następni byli ci, którzy uważali, że jesteśmy agentami partii, a raczej Natolińczyków czy Piaseckiego i że wcale nie krytykujemy rzeczywistości. Byli też złośliwi jak np. Antoni Słonimski, który nas zaatakował chyba po to, żeby się pochlebić władzy, no i bo to było bezpieczne. Paradoksalnie chronił nas Jerzy Putrament. Byli wreszcie wrogowie w Wydziale K.C. Partii, którzy uważali nas za krypto-rewolucjonistów, którzy pod pozorem pięknoduchostwa, estetyzmu i realizmu (wedle nich burżuazyjnego) usiłowali rozwalić ustrój, w tym usiłowaniu,

wedle nich, nie najmniejszą rolę spełniały nasze połączenia z literaturą Zachodu. Grupa ta składała się głównie ze starych aparatczyków. Tak że chociaż w zasadzie mieli rację, krytyka ich nam za wiele nie zaszkodziła, a nawet obwracała się przeciw nim, udowadniając, że są zmurszałymi stalinistami.

Woda w Wekiwie jest chłodna. Leszek wyjął nogi z wody. Usiadł wygodnie na mostku. W tym czasie leżąca na kamieniach kłoda drewna poruszyła się. To nie było żadne drewno, tylko jeden ze średnich lub trochę większych aligatorów, długi może na dwa metry. Wypełznął na brzeg i położył się koło kamieni. Może też było mu zimno.

Dlaczego dzisiejsi krytycy literaccy i historycy określają słowem "Współczesność" całe pokolenie literackie? – zapytałam szybko.

Parę lat wcześniej powstanie takiego pisma jak "Współczesność" było niemożliwe. Parę lat później przeszłoby bez echa, tak jak przechodziły i przechodzą dosłownie dziesiątki pism literackich w Polsce i na zachodzie. Nawet niektórzy uważają, że nasza popularność była nie tyle naszą zasługą, co zbiegiem okoliczności i odpowiednim momentem historycznym. Ja muszę bez ogródek powiedzieć, że byliśmy przełomem w literaturze tego okresu. Historycznie pod względem wagi w literaturze byliśmy odpowiednikiem "Sturm und Drang". Wymową naszych utworów, przynajmniej w większości prozy, byliśmy częściowym ekwiwalentem Młodych Gniewnych Ludzi w Anglii.

Spojrzałam jeszcze raz na słoneczny brzeg Wekivy. Teraz wylegiwały się tam dwa aligatory. Pomyślałam, że aligatory mają teraz sezon godowy. Jak to może wyglądać? I kiedy one to robią? W nocy? Po ciemku?

**Zadałam Leszkowi następane pytanie:
Zacznijmy od swawolnej strony. Kobiety z reguły
towarzyszą mężczyznom, nawet bandom motocyklowym.
Nie tylko policjanci, ale i mordercy mają swoje
"groupies" Dlaczego między wami nie było żadnych
ślicznotek?**

(Pisarz spojrział na mnie srogim wzrokiem.)

Danuta! Nam tylko literatura i polityka były w głowie, a nie żadne ślicznotki. Zreszta jedyna dama w Kole Młodych nie mogła pretendować do takiego określenia.

Tak się złożyło, że nie było dziewcząt pisarek. Monika Kotowska i Atgnieszka Osiecka trzymały się na uboczu, raczej Marka Hlaski. Jeśli były jakies "groupies" to ja o tym nie wiedziałem. O to zapytaj raczej Jurka Czajkowskiego.

**Aligatory przysunęły się bliżej wody. Miejsce spotkania
wybrałam sama. To był mój pomysł. Chciałam
przestraszyć sławnego pisarza aligatorami. Może trochę
przesadziłam.**

**Dobrze, zapytam Jurka, a teraz przejdźmy do następnego
pytania, i proszę mi wybaczyć, że będę prowadzić
rozmowę bez specjalnego planu. W tym wypadku jestem
zwolenniczka "free association".**

**Dobrze, Leszku, jak to się stało, że piszesz po angielsku?
Czy to nie był błąd? Przecież wielu pisarzy
emigracyjnych miało i ma swe książki drukowane w
Polsce a z Twoich licznych dzieł - nic nie mamy!**

Gdy się znalazłem na emigracji, jedynym pisarzem, który się utrzymywał z wydawania książek był Jozef Mackiewicz. Pisma z zasady nie płaciły honorariów. Pisanie za darmo było obowiązkiem społecznym i politycznym.

Zarówno Mieczysław Grydzewski jak i Jerzy Giedroyc radzili mi przestawić się na angielszczyznę. Abym mogł kontynuować pisarstwo - nie tylko zawód, ale i powołanie.

Przestawić? Przecież to nie takie łatwe. Pisarz jest związany z językiem. To nie malarz, czy muzyk.

Ja też tak myślałem. Ale mój przyjaciel Hindus, Kedar Nath, pisał po angielsku. Nick Joaquin pisarz filipiński też tworzył w tym języku. Inna rzecz, że w Indiach i na Filipinach angielski jest jednym z oficjalnych języków i inteligenci są osłuchani z angielszczyzną od młodości. Dorosłemu człowiekowi, zwłaszcza z dorobkiem literackim, nie jest tak łatwo opanować cudzy język jako narzędzie twórcze. Przypominam sobie tylko jeden taki wypadek - Józef Korzeniowski - słynny Conrad!

A Kuniczak, Pieterkiewicz i inni? Kossinski na przykład?

Pieterkiewicz i Kuniczak chodzili do szkół angielskich. Angielski nie był dla nich obcym językiem. Co do Kossinskiego krążą wersje, że to nie on napisał "Malowanego ptaka". Jeśli chodzi o mnie, opanowanie angielskiego przyszło mi z ogromnym wysiłkiem. Gramatyka jest prosta, ale użycie rodzajników pozostaje do dziś dnia dla mnie tajemnicą. Prócz tego język, aż się roi od idiomów. Poprawiam dziesiątki razy, ale nic nie drukuje póki ktoś mi nie poprawi tekstu.

Początkowo tłumaczyłem własne opowiadania, ale w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że łatwiej mi formułować zdania od razu po angielsku, niż je tłumaczyć, słowem nauczyłem się myśleć po angielsku, od tej chwili twórczo myślę w tym języku. Pisząc po polsku często muszę tłumaczyć w myśli z angielskiego.

Czy Twoje książki spotkały się z uznaniem?

Tak i nie. Z krytycznym na pewno. U czytelników z umiarkowanym. Chyba najlepiej rozeszła się moja monografia o Kazimierzu Pulaskim w Ameryce. Książka wysnuta z większości nieznanych dokumentów. Po raz pierwszy coś nowego od przeszło stu lat! to jest od pracy drukowanej przez profesora Kozłowskiego w Bibliotece Warszawskiej w 1906 roku.

Ciekawe, że tego nie wydrukowano w Polsce. Czy napisałeś coś jeszcze z tej dziedziny?

Byłem na indeksie Cenzury za PRL. Dlaczego de facto ciągle jeszcze tam jestem trudno mi powiedzieć. Wracając do twego pytania, tak, napisałem biografię, nie monografię Pawła Strzeleckiego. Książka znacznie przystępniejsza dla czytelnika, prawie popularna. Nie jak moja monografia Pulaskiego - historia dla historyków. Odkryłem wiele rewelacyjnych, wręcz sensacyjnych rzeczy o Strzeleckim, tym prawie nieznanym naukowcu i podróżniku. Okazuje się, że prowadził podwójne życie. Był za kulisami Wojny Krymskiej a nawet w powstaniach w zaborach pruskim i rosyjskim. Procz tego wydałem naukową i dokumentalną pracę o Solidarności niesłychanie dobrze ocenioną przez "learned journals". Dokumenty dosłownie w ostatniej chwili przed ogłoszeniem stanu wojennego przesłał mi Władysław Siła Nowicki.

Z innej parafii, ale ciągle nie beletrystycznej, jest "Living with the Weird Mobs". Eseje na tematy australijskie, angielskie i amerykańskie. "Warsaw Aflame" to historia okupacji niemieckiej lat 1939-45.

Ciekawe, zwłaszcza ta biografia Strzeleckiego, ale co z beletrystyką, albo czy przeszedłeś na twórczość historyczno naukową?

Właściwie tak bo pisze teraz ogromną biografię Jose Rizala. Robię to bo na biografie, przedziej czy później znajde

wydawce. W pracy naukowo-historycznej, włączając w to biografie istnieją obiektywne kryteria oceny. Co zaś do beletrystyki to wielki znak zapytania. Ocena jest subiektywna.

Co napisałeś z tej dziedziny?

Zbiór opowiadań o tematyce polsko-australijskiej "Escape to the Tropics" i tom opowiadań przygodowych "On the Wallaby Track". Ale większość moich powieści jest ciągle w maszynopisach. Więc olbrzymia powieść "King of Bachcnalia" będąca kontynuacją „Końca Zgody Narodów" i "Such Was Life", opowieść z życia Polonii sydneyjskiej w latach 60-tych. W polskiej wersji "Narzeczone z Ogłoszenia" były to drukowane w odcinkach w Australii, Anglii i Ameryce. Procz tego mam dwa całkiem dobrze technicznie opracowane scenariusze "PULASKI" i DR QUACK" to ostatnie mogłbym nazwać "Znachorem Filipińskim" bo przyznaje się, że pomysł zaczerpnąłem od Dolegi Mostowicza. Opanowanie techniki pisania scenariuszy zabrało mi przeszło rok. Właściwie powinienem był się do tego zabrać przynajmniej z dziesięć lat wcześniej.

To chyba wszystko co pamiętam z mej pisaniny. Oczywiście napisałbym znacznie więcej, gdybym nie musiał pracować na chleb codzienny w pracach przeważnie nie mających nic wspólnego z literaturą.

Wracając do czasów "Współczesności", kogo z kolegów najlepiej pamiętasz?

Pamiętam wszystkich współredaktorów. Ale szczególnie wrył mi się w pamięć Marian Osiałowski. Zawsze rozmarzony, łagodny i delikatny. Wyglądał jak lysiejacy anioł. Porównanie nasunęło mi się, gdy mi powiedział, że leciec w samolocie tym lepiej się czuje im bardziej areoplan zbliża się do niebios. Marian bez względu na chłody chodził stale w tenisówkach starannie wybielanych kredą. Pamiętam, że przeznaczaliśmy część zarobku ze sprzedaży ulicznej naszego pisma na zakup

butów dla Marianka. Daliśmy mu pieniądze, a Marian nadal chodził w tenisówkach. Wreszcie odważyłem się spytać, dlaczego nie kupił sobie butów i na co wydał pieniądze? Marianek spojrzał na mnie ze zdumieniem. - Jak to nie kupiłem? Czy nie widzisz, że to nowe tenisówki? Okazało się, że tenisówki były niezbędną częścią przyodziewku Mariana.

Zbyszek Irzyk wspomina, że kiedyś Marian spędził całą noc na Plantach wachając kwiaty. Dziesięć lat później położył się w Lasku Bulońskim, obsypał się kwiatami i połknął truciznę. Zmarł w kwiatach osnuty ich wonią.

Zamilkliśmy na chwilę.

Jeszcze jedno pytanie. Za jakiego pisarza się uważasz polskiego, czy angielskiego?

W rozmaitych słownikach jestem okreslany jako pisarza amerykański, australijski i polski. Jestem tym wszystkim. Ale w mojej twórczości choć w języku angielskim dominuje tematyka polska. Kiedyś w wywiadzie radiowym w Australii jakaś pani zapytała mnie, czy uważam się za Polaka czy Australiczyka. odpowiedziałem, "Trudno mi jest nie być Polakiem".

I to chyba jest głównym motywem mego pisarstwa.

Dziękuję za rozmowę.

Pora opuścić Wekiwę, pomyślałam. Miejsce spotkania wybrałam przezornie sama. Gdyby sławny pisarz odmówił odpowiedzi na jakieś pytanie, zepchnęłabym go na pastwę aligatorów. Byłaby to zemsta za to, że usiłował zepchnąć mnie do Pacyfiku na pastwę rekinów.

rozmawiała z Leszkiem Szymańskim Danuta Błaszak



**Leszek Szymański z Synem Józkiem.
Kalifornia 2006**